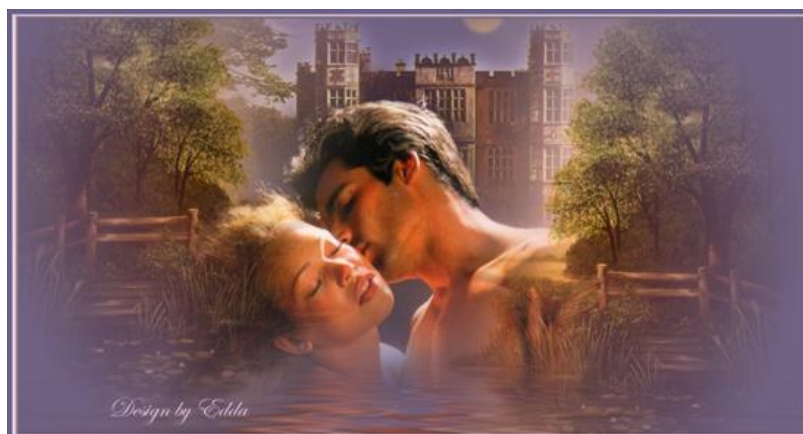




BETHANY CAMPBELL



*Marzenie
każdej kobiety*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szary gołąb przechadzał się po parapecie okna Tess Avery siedzącej w biurze Agencji Reklamowej Madigan. Od czasu do czasu przekrzywiał łepkę, jakby się jej przyglądał.

Ha - zdawał się mówić - ha, jestem wolny, mogę robić co mi się podoba i pofrunąć, dokąd zechcę.

No to fruń, pomyślała markotnie Tess. Leć na chodnik przed kawiarnią i jedz okruszki. Siądź na pomniku. Zjeżdżaj.

Gołąb patrzył na nią z wyższością i spacerował po parapecie. Dalej widać było szerokie ulice i wielkie budynki Starego Rynku w Omaha. Pomiedzy nimi kwitły klomby, a gałęziami drzew powiewał majowy wietrzyk. Trwale zamocowane markizy chroniły kupujących i turystów przed ostrym słońcem Nebraski.

Na ogół Tess lubiła ten widok. Wyobrażała sobie, że jest w Nowym Orleanie czy nowojorskiej Greenwich Village.

Dziś jednak nic jej nie cieszyło. Bolała ją głowa, a na biurku piętrzyły się kłopotliwe sprawy do załatwienia. Trzy wyjątkowo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe zadania. Po pierwsze, musi znaleźć szympansa, który ugotuje i poda spaghetti. Po drugie, stuletniego staruszka potrafiącego jeszcze stepować. Po trzecie, dwunastu przystojnych kawalerów. Wszyscy muszą pochodzić z Nebraski i być rolnikami albo hodowcami bydła. W dodatku powinni chętnie pozować do kalendarza, a dochód z jego sprzedaży ma wesprzeć biednych farmerów w całym stanie.

Ostatnia sprawa napełniała ją niesmakiem. Chociaż sam kalendarz wydawał się niezłym pomysłem, forma była dziecinna i odwołująca się do seksu. Nie po to ćwiczyła w sobie brak zainteresowania mężczyznami, przystojnymi lub nie. A teraz ma zniżyć się do wyszukania i złapania dwunastu.

Ze złości przygryzała koniec ołówka, a palcami drugiej ręki przeczesywała kręcone, kasztanowe włosy. Przysięgała sobie, że pewnego dnia ucieknie do Nowego Jorku i znajdzie pracę, gdzie będzie poważnie traktowana. W Agencji Madigan Tess dostawała wyłącznie dziwaczne, drugorzędne lub przez nikogo nie chciane zadania. Mało satysfakcjonujące.

Do małego pokoiku Tess weszła Delia, sekretarka agencji, z pudełkiem z francuskiej piekarni na rogu. Przystanąła na widok tego, co wyprawiała Tess. Delia, przystojna, czarnoskóra kobieta, rozsiewała wokół siebie spokój, zażegnując codzienne większe i mniejsze konflikty w agencji.

- Chwileczkę - odezwała się podejrzliwie, unosząc brew. - Mierzwisz sobie włosy. Zjadasz ołówek. Wilkiem spoglądasz na gołębia. Spróbuj zgadnąć. Nie jesteś szczęśliwa.

- Owszem - odparła z ołówkiem w ustach Tess.

- Znow wcisnęli ci paskudną robotę - wzruszyła ramionami Delia - ponieważ jesteś najmłodsza w zespole. Czy Madigan rozdzielała dziś nowe tematy?

- Dostałam telewizyjną reklamówkę restauracji Pasquerali - skinęła głową Tess. - Mam znaleźć szympansa, potrafiącego ugotować spaghetti.

- To oznacza Pana Małpiszona. Powodzenia.

Tess ponownie skinęła głową i głębiej wparła się w obrotowe krzesło. Te głupie zadania musi wykonać doskonale. Od tego zależy jej przyszłość. Pani Madigan obiecała pomóc jej znaleźć ciekawą pracę w Nowym Jorku, o ile Tess wykaże inicjatywę tej wiosny.

Nowy Jork, pomyślała tęsknie Tess. Serce światowej reklamy, pełne najlepszych agencji w kraju. Marzyła o tym mieście od lat. Tam mogłaby do czegoś dojść, zajmować się czymś interesującym. Nie zamierzała przez resztę życia reklamować parówek śniadaniowych. Interesowały ją poważniejsze sprawy: kampanie dotyczące szerzenia oświaty, zdrowia i ogólnoswiatowych akcji humanitarnych.

Ale pomiędzy nią a Nowym Jorkiem piętrzyła się potrójna przeszkoda. Po pierwsze, Pan Małpiszon. Nie miała wielkiego wyboru. Ilekroć na Środkowym Zachodzie ktoś potrzebował tresowanego zwierzęcia, kontaktował się z Thurmondem Sprecklesem.

Wszystkie zwierzęta Thurmonda były dobrze wychowane i posłuszne, czego nie dało się powiedzieć o nim samym. Zachowywał się jak dzikie zwierzę, zwłaszcza w stosunku do kobiet. Tess, dość chłodna wobec mężczyzn, intrygowała Thurmonda i wyzwalała w nim najgorsze instynkty.

Delia poklepała ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Zawsze możesz włożyć zbroję.

Tess pokręciła głową i przyjrzała się śladom zębów na ołówku.

- Czy wiesz, co to za przyjemność, gdy podszczypuje cię ktoś taki?

- Dziewczyno, wszystkie o tym wiemy. Głowa do góry. To minie.

- Mało, że muszę się męczyć z Thurmondem Sprecklesem, to jeszcze mam znaleźć stuletniego staruszka, który potrafi stepować.

Delia aż gwizdnęła.

- Agencje talentów pokochają cię, gdy tylko o tym usłyszą. A to po co, jeśli wolno spytać? Masz tu trochę kalorii. Potrzebujesz solidnej słodkiej terapii.

Tess zerknęła bez zainteresowania na leżącą w pudełku napoleonkę. W czasie porannej odprawy straciła całkiem apetyt.

- Sklep muzyczny Mercera potrzebuje serii telewizyjnych klipów dla uczczenia stulecia firmy. Leon Mercer wpadł na genialny pomysł pokazania dziadka tańczącego w czasie burzy. Potem wygłosi slogan: „Nawet po stu latach, Mercer jest wciąż najzwawszy w przemyśle muzycznym”.

- Hm. Zjesz tę napoleonkę, czy będziesz się na nią ponuro gapić? - rzekła Delia.

- A ty nie chcesz?

- Owszem. Jestem na diecie od siódmej rano i ledwo żyję. Jeśli mi ją odstąpisz, wysłucham reszty twoich kłopotów. Okażę ci nawet współczucie.

- Proszę uprzejmie - skinęła niedbale Tess. - Oddam wszystko za odrobinę współczucia. Jest jeszcze projekt kalendarza na cele dobroczynne dla Homestead Heritage.

- Bardzo apetyczne - stwierdziła Delia, biorąc ciastko. - Z czym masz kłopot? Działalność charytatywna jest czymś wzniosłym. Zdaje się, że zawsze cię to interesowało. Co to za projekt?

Tess z zazdrością patrzyła, jak Delia zabiera się do napoleonki. Żołądek zwinął się jej w twardy węzeł.

- To wymysł pani Madigan. Mamy zebrać pieniądze na pomoc dla ubogich rolników.

- Jakie to szlachetne ze strony pani Madigan. - Delia zlizwała odrobinę kremu z palca wskazującego. - I jakie niezwykle. Skąd ta troska o rolników?

- Wychowała się na farmie. Stąd sentyment. Wybrała mnie na ochotnika do pomocy.

- A ty, o ile wiem, nie darzysz farm szczególnym sentymentem?

Tess przygryzła kącik ust. Była szczupłą kobietą średniego wzrostu. Miała krótko obcięte, rudobrazowe włosy i duże, ciemne oczy, łatwo zdradzające jej uczucia. Dawno już nauczyła się panować nad niektórymi.

- Z całą pewnością nie. Małe gospodarstwa nie mogą przetrwać w dzisiejszych czasach. Wszyscy o tym wiedzą. Nie pomoże im sprzedaż tego śmiesznego kalendarza.

- Cóż, musi być tak, jak chce pani Madigan. I co zrobisz? Wyślesz fotografa, żeby porobił zdjęcia falujących łąnów, samotnych wiatraków i szczęśliwych krówek?

- Byłabym szczęśliwa - odparła z ponurym spojrzeniem Tess. - Ktoś w Homestead Heritage Foundation postanowił, że ten kalendarz ma się dobrze sprzedawać. Chcą mężczyzn, kawalerów. W Północnej Dakocie podobna akcja cieszyła się dużą popularnością. Muszę znaleźć dwunastu mężczyzn, rolników lub hodowców, nieżonatych, przystojnych i gotowych pozować za darmo.

Delia omal nie udławiła się ostatnim kawałkiem napoleonki. Rozłożyła serwetkę i strząsnęła okruszki z czerwonej sukni.

- Potrzebujesz dwunastu kawalerów? - roześmiała się wesoło. - I jeszcze narzekasz? Kochana, większość kobiet marzyłaby o takiej pracy. Do diabła, sama chciałabym znaleźć jednego takiego kawalera. Nawet nie musiałby być wyjątkowo urodziwy.

Tess wstała i melancholijnie wlepiła wzrok w okno. Gołąb spojrział w jej stronę. Nadal zdawał się drwić z jej losu. Potem rozłożył skrzydła i odleciał na wschód, w stronę rzeki.

Zadumana obciągnęła zakiet granatowego kostiumu i odwróciła się w stronę Delii.

- Obiecałaś mi współczucie.

- Mogę ci współczuć z powodu szympana i tancerza, ale nie dwunastu przystojniaków - uśmiechnęła się Delia. - Jak już mówiłam, to marzenie każdej kobiety.

Tess przemierzyła trzema krokami swoje małe biuro.

- Nie interesują mnie kawalerowie, ani dorodni, ani też pokraczni.

- Miałam zamiar o tym z tobą porozmawiać - spoważniała Delia. - Miły mężczyzna mógłby wnieść nieco radości do twojego życia. A ty, dziewczyno, tylko pracujesz i pracujesz.

- Lubię pracować. Nie mam czasu na związki z mężczyznami. Mam zamiar zrobić karierę. Nie chcę spędzić reszty życia w Omaha, robiąc reklamówki z szympanami czy polując na kandydatów do kalendarzy.

- Wciąż ci chodzą po głowie te głupie myśli o wyjeździe do Nowego Jorku? - spytała ze zniecierpliwieniem Delia.

Tess przybrała obojętną minę,

- Tak. Mam dwadzieścia sześć lat. Najwyższy czas coś przedsięwziąć.

Delia pokręciła głową, aż zadzwoniły jej złote kolczyki.

- Nigdy nie byłaś w Nowym Jorku. Może ci się tam nie spodobać. Nie jest tak przyjaźnie i rodzinnie jak tutaj. To nie dla każdego. Spędziłam tam sześć miesięcy i wróciłam do domu. Lubię przestrzeń wokół siebie, lubię widzieć niebo. Lubię spacerować za dnia po parku, bez obawy, że ktoś da mi w głowę. To miłe miasto.

Tess wyjrzała na ulicę. Opodal okrągłego kwietnika wygrzewał się w słońcu gniadosz. Był zaprzęgnięty do białego ozdobnego powozu. Woźnica siedział w cieniu śliwy i popijał kawę w oczekiwaniu na pasażerów. Obrazek jak z ubiegłego, o wiele spokojniejszego stulecia.

- To miłe miasto - powtórzyła Delia. - Wspaniałe. Rodzinne.

- Nie dla mnie - pokręciła głową Tess. - Zbyt wiele wspomnień. Muszę się stąd wynieść.

- Kochanie - westchnęła Delia. - To nie Nebraskę chcesz zostawić, a swoją przeszłość. Mam dla ciebie złą wiadomość. Dokądkolwiek pójdziesz, zabierzesz przeszłość ze sobą niczym cień. Jesteś z nią nierozdzielnie związana.

Tess nic nie odpowiedziała. Jeśli tak ujmować przeszłość, to jej cień był długi i mroczny. Nie lubiła spoglądać wstecz. Miała niemiłe wspomnienia.

Okres dojrzewania w małym, schludnym miasteczku Cottonwood w Nebrasce upłynął jej pod znakiem ciągłej walki. Od czasu śmierci matki nie zaznała szczęśliwych dni.

Matka osierociła ją, gdy Tess miała dwanaście lat. Rodzice prowadzili niewielką farmę, wspomagana finansowo przez matkę zatrudnioną jako sekretarka lokalnego prawnika. Pewnego zimowego ranka, w drodze do pracy, auto matki wpadło w poślizg i wbiło się pod powracającą z Omaha ciężarówkę do przewozu bydła.

Lana Avery żyła jeszcze przez tydzień w szpitalu. Jej organizm funkcjonował normalnie, dzięki aparaturze podtrzymującej, lecz bystry, kochający umysł odpłynąwszy w nicość zgasł jak zapałka na wietrze. Ojciec Tess długo siedział przy żonie, wreszcie polecił lekarzom wyłączyć urządzenia.

Czasami Tess odnosiła wrażenie, że ojciec umarł razem z matką, a zastąpił go jakiś obcy szorstki mężczyzna. Sprzedał farmę i zabrał dzieci do miasta, gdzie kupił stację naprawy samochodów. Poświęcił się wyłącznie pracy. Zazwyczaj niezbyt przystępny, teraz stał się wyjątkowo surowy, zwłaszcza wobec Tess.

Jej dwaj starsi bracia, z natury mrukliwi i zamknięci w sobie, brali życie takim, jakie jest, bez zbędnych pytań. Przyjęli zmianę zachowania ojca jako coś naturalnego. Tess nie potrafiła.

Im bardziej sprzeciwiała się zakazom i nakazom ojca, tym bardziej stawał się nieprzystępny. Tess kochała kiedyś hrabstwo Frontier. Teraz nauczyła się go nienawidzić.

Z biegiem lat coraz bardziej nie cierpiała zawężonych horyzontów myślowych ojca.

- Zachowuj się jak przystało na kobietę - powiedział, gdy domagała się większej niezależności. - Od rządzenia jest mężczyzna. Musisz znać swoje miejsce.

Bracia uważali to za oczywiste. Byli mężczyznami, kimś lepszym, a Tess tylko dziewczyną.

W szkole radziła sobie za to lepiej od braci. Tam czuła się ważniejsza. Ojcu wyraźnie się to nie podobało.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele - mawiał, gdy pokazywała mu świadectwa. - Stopnie o niczym nie świadczą. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Po ukończeniu szkoły dostała stypendium na studia zarządzania Uniwersytetu Nebraska w Omaha. Ojciec odradzał jej, twierdząc, że dla kobiet nie ma miejsca w świecie biznesu. Uznał to za stratę czasu i pieniędzy, bo po ukończeniu college'u i tak wyjdzie za mąż.

Pokłócili się okropnie i ojciec zapowiedział, że jeśli Tess go nie posłucha, wyrzuci ją z domu.

Wyniosła się sama. Miała pieniądze otrzymane w nagrodę za postępy w nauce i te, które uzyskała ze sprzedaży cielaka. Pięćset dwanaście dolarów. Wsiadła w autobus do Omaha, tam wynajęła pokój i zatrudniła się jako kelnerka.

Będąc równie uparta jak ojciec, ukończyła college z czystej zawziętości. Poświęciła się nauce. Nie zwracała uwagi na mężczyzn, czując, że będzie musiała ich słuchać do końca życia. Po pięciu latach ukończyła studia z oceną celującą na dyplomie magisterskim w dziedzinie marketingu.

Zrezygnowała z pracy nauczycielki ze względu na niską płacę. Zajął się reklamą. Postanowiła zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, by do końca życia zyskać niezależność.

Z ojcem i braćmi kontaktowała się jedynie dla zachowania poprawnych stosunków. Oni ze swej strony nie garnęli się do niej. Zupełnie, jakby była dla nich obca.

Całą swoją energię włożyła w pracę. Jednak odkryła, że nawet praca nie wyczerpuje jej niespożytych sił. Coś umknęło w jej życiu. Otaczała ją pustka i mimo usilnych prób ucieczki, nadal czuła się osaczona.

Gdzieś tam był wielki świat i cenne nagrody. Wmawiała sobie, że nic jej nie trzyma w Nebrasce. Ten stan kojarzył się jej jedynie z ciężką pracą i poświęceniem. Chciała zerwać ze wszystkim i przenieść się do Nowego Jorku. Tam czekają ją szersze horyzonty i satysfakcjonująca praca.

Milczenie w małym pokoiku stało się krepujące. Delia wstała, wsparła się pod boki.

- Słuchaj, Tess, przykro mi, że nawiązałam do przeszłości. Nie lubisz o tym mówić, wiem. Ale nie pozbędziesz się wspomnień, niezależnie od tego, jak daleko wyjedziesz. Po prostu chcę dla ciebie jak najlepiej.

Uśmiechnęła się blado. Delia była jedyną osobą w Omaha, której opowiedziała o swojej rodzinie.

- Już dobrze. Po prostu załamały mnie te idiotyczne zadania.

- Hej - rozpromieniła się Delia. - Poradzisz sobie. Pamiętasz ubiegły miesiąc? Jak robiłaś reklamówkę z kurczakami przebranymi za girlsy? Myślałaś, że oszalejesz, ubierając je w wysokie obcasy.

- Jestem chyba jedyną kobietą w Nebrasce, która tańczyła z gromadką kurczaków - roześmiała się Tess.

Porozumiały się wzrokiem. Obie uśmieły się serdecznie z absurdów, jakie przyszło im robić dla pieniędzy.

- Wracam do pracy - powiedziała Delia - bo inaczej pani Madigan rzuci się na mnie i palnie stosowną mowę. Powodzenia z szympansem i tancerzem. A co do dwunastu przystojnych kawalerów, to masz pecha. Lunch w kafejce na rogu?

Tess skinęła głową. Delia wyszła, szeleszcząc czerwoną suknią i dzwoniąc koleczkami. Zostawiła po sobie woń ostrych, pasujących do jej karnacji perfum.

Po wyjściu Delii zasiadła przy biurku. Zadzwoiła do Thurmonda Sprecklesa, tytułującego się Panem Małpizjonem i bardzo oficjalnie przedstawiła mu swoje zamówienie.

- Właściciele restauracji Pasquerali chcą, żeby szympanś ugotował i podał spaghetti, robiąc przy tym straszny bałagan. Potem pokażą, jak elegancko robi się to w ich lokalu, wygłaszając hasło: „Nasi kucharze nie dostają małpiego rozumu”.

- Mogę nauczyć Pooky przyrządzać spaghetti - odparł Thurmond. - Nawet niezłe. Wyćwiczę ją tak, że nakręcicie materiał w jeden dzień. Gwarantuję. Tysiąc pięćset dolców plus zwrot kosztów.

Tess zgrzytnęła zębami. Tresowane szympanse są drogie.

- Świetnie. Chcę ją na piątego czerwca, za trzy tygodnie.

- A ja chcę również twego ciała - dodał Thurmond z pożądliwością w głosie.

Tess przypomniała sobie jego wygląd i zatrzęsła się z obrzydzenia. Pan Małpison był bladym, chudym rudzielcem z kucykiem. Zawsze śmierdział zwierzęciem, z którym ostatnio pracował.

- Nawet o tym nie myśl. Przyrowadź szympansa, a żądze zostaw w domu. Mówię poważnie.

- Ja również. Pożadam twego ciała, ciała... - Thurmond udawał, że ciężko dyszy. - Chcę stopić tę otaczającą cię ścianę lodu. Pragnę...

Odłożyła słuchawkę. Przez chwilę trzymała się za głowę. Potem chwyciła głęboki oddech i zadzwoniła do Talent Scouts, największej agencji w mieście.

- Potrzebuję stepującego stulatka - poinformowała Jerry'ego Bircha. - Od tego czwartku za tydzień.

- Chyba żartujesz - powiedział Jerry.

- Wcale nie żartuję. Leon Mercer domaga się stepującego tancerza do swoich telewizyjnych klipów i żąda, żeby miał sto lat.

- Tess - ostrożnie zaczął Jerry. - Czemu zawsze prosisz mnie o coś niemożliwego?

- Żeby utrzymać cię w formie. Tak jak mówiłam, od czwartku za tydzień. Znajdziesz coś dla mnie?

- Och - jęknął - czemu nie zostałem księdzem, jak chciała moja matka? Zrobię, co się da. Powiedz Mercerowi, że go nie cierpię.

- Przykro mi - słodziutko odparła Tess. - Klient ma zawsze rację. Jesteśmy na jego usługi.

Rozłączyła się, zanosząc modły, żeby Jerry'emu się powiodło. Potem przesiadła się do maszyny do pisania i przygotowała ogłoszenie do wszystkich stanowych gazet:

„POTRZEBNI OCHOTNICY. Męscy modele do charytatywnego kalendarza Homestead Heritage. Muszą być rolnikami lub hodowcami. Nieżonaci, wiek pomiędzy osiemnaście a czterdzieści pięć lat. Kolorowe zdjęcia, najlepiej na taśmie 35 mm, plus notka biograficzna. Przesyłać pod

adresem: Projekt Kalendarza, Agencja Reklamowa Madigan, Stary Rynek, Budynek „D”, Omaha. Ze względu na charakter przedsięwzięcia, uczestnictwo nieodpłatne”.

Tess uśmiechnęła się szyderczo. Zastanawiała się, ile głupich listów przyjdzie w odpowiedzi na to ogłoszenie. Pewnie lawina. Wyobraziła sobie dziesiątki aparatów pstrykających w całym stanie.

Pstryk, pstryk, pstryk. Nieważne, co się fotografuje, ale jak, myślała Bunny Sevrinson. To kwestia widzenia. Wrażliwości na kolory, kształty i cienie. Trzeba mieć własną wizję. Pstryk.

Siedemnastoletnia Bunny ukryła się w krzakach bzu na skraju pastwiska. Przeczytała ogłoszenie w „Lawler County Trumpet” i postanowiła zgłosić zwycięzcę. Chociaż wiedziała, że w fotografice liczy się przede wszystkim twórcza inwencja, to nie zaszkodzi jeszcze mieć dobrze zbudowanego modela.

Mimo że wujek Cal zadręczał ją, wtrącając się do wszystkiego, uważała go za niezwykle przystojnego mężczyznę. Przynajmniej tak twierdziły jej przyjaciółki, chichocząc jak idiotki, kiedy o nim rozmawiały. Szczęściem nie musiały z nim mieszkać i wysłuchiwać nie kończących się pouczeń. Piękniś o sercu tyrana, pomyślała Bunny, kierując nań teleobiektyw. Miała zamiar wyrwać się jak najprędzej spod opieki wuja. Tymczasem wykorzysta jego urodę.

To będzie piękna seria zdjęć. Bunny podsłuchiwała, jak jeden z pomocników meldował, że płowy źrebak zranił się w nogę nie opodal pastwiska. Widząc wychodzącego wujka, złapała aparat fotograficzny i schowała się w krzakach bzu.

Światło jest fantastyczne, pomyślała, ustawiając ostrość. Popołudniowe słońce kładło długie cienie wśród traw, wypełniając powietrze złotymi błyskami.

Wujek, przyznała niechętnie, jak na starszego mężczyznę w wieku trzydziestu siedmiu lat, prezentował się nieźle z nagim tarsem, ubrany jedynie w

spłowiałe dzinsy i kowbojskie buty. Miał szerokie ramiona i wąskie biodra, a potężne mięśnie grały przy każdym kroku. Zachodzące słońce zabarwiało jego skórę na kolor miedzi.

Czarne, nieco przydługie włosy opadały mu falą na czoło. Ciemne brwi okalały orzechowe oczy. Nad pełnymi wargami górował prosty nos. Całkiem, całkiem, jak na starego nudziarza.

Niesiony przez wujka źrebak trącał go nosem w nagie ramiona lub spoglądał ze zdziwieniem w niewzruszoną twarz mężczyzny. To będzie piękne zdjęcie. Pstryk.

Biały ogon i grzywa odcinały się od opalonej piersi Cala. Byli już o dziesięć metrów od kryjówki Bunny. Cofnęła się głębiej w krzaki. Wujek szedł wprost na nią. Będzie musiał przejść przez płot, żeby skrócić sobie drogę do stajni.

Teraz widać było napięte żyły, co podkreślało umięśnienie. Wuj lekko uniósł źrebaka, który znów spojrzał na niego ciemnymi oczami. Słońce zabarwiło niską chmurę w tle na kolor sierści konika.

Idealnie, pomyślała Bunny. Jestem genialna. Niech no tylko Fred to zobaczy. Fred był starszym panem o artystycznej duszy, w dodatku zainteresowanym Bunny. W przeciwieństwie do wuja, wierzył w jej talent.

Wujek mijał właśnie krzak bzu. Przystanął i nawet nie spojrzał w tę stronę.

- Bunny, wyłaż stamtąd - powiedział cicho. - I przestań robić mi zdjęcia. Wiesz, że tego nie lubię.

Zamarła. Przecież nie mógł jej widzieć. Musiała się przesłyszeć.

- Bunny! - Ostry ton rozwiął złudzenia. - Wracaj do lekcji. Natychmiast. Bo skonfiskuję ci film.

Zrobi to ten dyktator. Ociągając się, wyszła z kryjówki.

- Nie żartuję. - Cal zrobił surową minę. - Wracaj do matematyki.

Bunny poprawiła blond włosy i nic nie odpowiedziała. Już niedługo będzie tego słuchać. Za tydzień kończy szkołę. Przez lato popracuje w zakładzie fotograficznym w pobliskim mieście, a potem ucieknie. Jak najdalej od farmy, Nebraski, a zwłaszcza od wuja. Jeszcze nie zdecydowali z Fredem, dokąd.

Poklepała kamerę. Cal, nawet nie wiedząc o tym, ułatwiał jej drogę ucieczki.

Rzucił jej groźne spojrzenie.

- Co tu robisz? Powinnaś przygotowywać się do egzaminów końcowych.

Wzruszyła ramionami. Przy mierzącym metr dziewięćdziesiąt wujku wydawała się maleńka. Miała podobnie jak on orzechowe oczy, prosty nos i równie uparte usta.

- Robiłam zdjęcia, bo światło było ciekawe - skłamała. - Fred powiedział, że powinnam próbować naturalnych ujęć. To wszystko.

Rzucił jej kolejne władcze spojrzenie. Nie lubił Freda i nie owijał tego w bawełnę.

Bunny przybrała wyjątkowo niewinny wyraz twarzy. Cal już niedługo będzie jej panem i władcą.

Dobrze chociaż, że jest przystojny, co może dać jej wielką szansę. Już ona mu pokaże.

W poniedziałek nadeszły dwa pierwsze zgłoszenia. Następnego dnia siedem. W środę osiemnaście, a w czwartek listonosz rzucił na biurko Delii pięćdziesiąt dwie koperty. Pięćdziesiąt jeden dotyczyło kalendarza, jedna adresowana była do Tess. List zawierał nieprzyzwoitą propozycję i napisany był przez Pana Małpizona.

Tess zaczerwieniła się i wyrzuciła go do kosza. Czekają ją zdjęcia do reklamówki dla Mercera. Nie chciała przeglądać pozostałej korespondencji. Fotosy, które nadeszły, były mało zachęcające. Jedyne jako tako wyglądający mężczyzna miał siedem kilo nadwagi. Wydawało się, że będzie musiała na nim poprzestać.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedziała do Delii. - Idę zobaczyć stuletniego staruszka i mam nadzieję, że nie zatańczymy go na śmierć. Sama przejrzyj zdjęcia.

- Jasne. Ktoś musi wykonać brudną robotę - odparła Delia. Otworzyła pierwszą kopertę i z niesmakiem obejrzała zawartość. - Ha. Ten jest nieciekawym. Prawie bez podbródka, uszy jak rączka dzbanka.

- Chyba zostanie zwycięzcą. Ten stan słynie z przystojnych mężczyzn. Tylko gdzie się pochowali? - zadumała się Tess.

Wzięła teczkę, przez ramię przewiesiła torebkę i wyszła. Kiedy zamykała drzwi, usłyszała jęk Delii.

Tess wróciła po trzech godzinach, wyczerpana obawą o staruszka. Miał co prawda tylko dziewięćdziesiąt trzy lata, ale niewiarygodną formę i mnóstwo entuzjazmu. Wciąż widziała, jak wywija trzcinką, ubrany w prążkowaną marynarkę i słomkowy kapelusz. Stary komik uwielbiał występować i nalegał na przedłużenie zdjęć, wymyślając co chwila nowe piruety do swojego numeru. Ku zdziwieniu Tess zakończył zdjęcia w lepszej formie od niej. Była wykończona.

Usiadła naprzeciwko Delii i złapała się za głowę.

- Wyglądasz, jakbyś sama stepowała cały ranek - zauważyła Delia. - Wszystko w porządku?

- Ten gość był wspaniały. Fantastyczny. Wszystkich oczarował. Pewnie dostaniemy nagrodę za tę reklamówkę. Ale kosztowała mnie pięć lat życia. Jestem wypruta z sił.

Delia, ubrana w oszałamiającą różową kreację, uśmiechnęła się tajemniczo.

- Mogę ci podładować baterie.

Tess wyprostowała się i wygładziła zieloną, plisowaną spódniczkę.

- Niemożliwe. Do poniedziałku mam napisać pięć radiowych migawek. Prócz tego w przyszłym tygodniu czeka mnie całodzienna praca z Panem Małpisonem. Bite osiem godzin.

- Chyba wiem, jak cię pocieszyć - odparła Delia z tajemniczym uśmiechem. Wzięła grubą, żółtą kopertę i udawała, że się nią wachluje.

- Tylko mi nie mów, że znalazłaś coś ciekawego w tych zdjęciach. Płonne nadzieje.

- Och, znalazłam mnóstwo ciekawych rzeczy. Paru boskich facetów. Dwóch wyjątkowo dziwnych. Sfotografowali się na golasa.

- Wiedziałam. - Tess zamknęła oczy i zmierzwiła dłonią włosy. Pokręciła głową. - Wiedziałam. Takie ogłoszenia wywabiają wszystkich dziwaków z ich kryjówek. To normalne.

- Ale - kontynuowała Delia, nie przestając się wachlować - znalazłam też i inne rzeczy. Chłopca z college'u z hrabstwa Cheyenne. Hodowcę trzciny cukrowej z hrabstwa Buffalo. No i - urwała dramatycznie - to. Ciesz się. To ci się spodoba.

Tess wzięła kopertę. Zamiast jednego zdjęcia zawierała cały plik. Zerknęła na pierwsze.

Z fotografii spoglądał na nią ciemnowłosy mężczyzna. Był nagi do pasa. Włosy opadały mu na czoło. Miał przepiękne oczy. Trzymał na rękach żrebaka, który spoglądał na niego ze zdziwieniem i ufnością. W tle złotawo połyskiwało niebo.

- Wielki Boże! - Tess rozdziawiła buzię. - Czy to jawa?

- Bez wątplenia. Hoduje konie i bydło w hrabstwie Lawler. Ma trzydzieści siedem lat, własne ranczo i jest kawalerem.

Tess wpatrywała się w zdjęcie jak zahipnotyzowana. To był idealny model, marzenie każdego pracownika reklamy. Niemal zapomniała, że nie interesują jej mężczyźni.

- Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Pozostałe zdjęcia przedstawiały różne warianty tej sceny.

- Nazywa się Cal Buchanon - dodała Delia. - Jest tylko jeden szkopuł.

- Jasne. Zawsze jest jakiś szkopuł. - Tess oderwała się od fotografii. Z podniecenia drżały jej dłonie.

- Zdjęcia robiła jego siostrzenica. Buchanan napisał, że możemy wykorzystać któreś z nich. W razie czego zrobi nam nowe. No i już podpisał zgodę na publikację.

- No to nie ma problemu. - Tess z niedowierzaniem pokręciła głową. - Doskonałe fotografie. Wręcz profesjonalne. I podpisał zgodę? Należą do nas? Możemy je wykorzystać?

- Podpisane, przysłane i zaklepane. Co o tym sądzisz? Tess przełknęła ślinę i oblizwała wargi. Spojrzała w roziskrzone oczy Delii.

- Myślę, że mamy szczęście. Dzięki niemu sprzedamy milion kalendarzy.

- Tak właśnie powiedziała pani Madigan. Chce, żebyś rozesłała jego zdjęcie do wszystkich gazet. No wiesz, zainteresowanie ludzi naszym projektem wraz z odpowiednim komentarzem. Wyślij również do paru ogólnokrajowych czasopism kobiecych. Wszystkie czytelniczki będą czekały na nasz kalendarz. Ten z Północnej Dakoty rozszedł się po całym kraju. Użyjemy tego gościa na przynętę, rozumiesz? Marzenie każdej kobiety.

Tess niemrawo skinęła głową. Wszystko wydawało się zbyt piękne, by było prawdziwe. Doszła do wniosku, że ten człowiek jest nie tylko przystojnym farmerem, bo skoro się nie ożenił to coś musiało być nie tak. Musi być głupi, próżny lub zdziwaczały. Jednak nie wyglądał na takiego. Raczej mądrze i odpowiedzialnie.

No i podpisał zgodę na publikację.

- Jest w tym coś dziwnego - mruknęła. - Pokaż no mi tę zgodę. Mówiłaś, że dołączył jakiś list.

Delia wręczyła jej papiery. Napisany na maszynie list zawierał krótką biografię Buchanona. Magister biznesu i rolnictwa Uniwersytetu Nebraska w Omaha. W wieku dwudziestu czterech lat przejął rodzinną farmę. Opiekował się również trójką dzieci po zmarłej siostrze. Nadmiar obowiązków nie pozwolił mu

się ożenić. Zdjęcia zrobiła najstarsza siostrzenica, Barbara Jean. Buchanon zgodził się na publikację, pod warunkiem wykorzystania którejs z jej prac. Na razie wyjeżdża na miesiąc. Korespondencję kierować na ręce siostrzenicy, na poste restante. Proszę nie dzwonić.

Na liście i zgodzie na publikację widniał ten sam zamaszty podpis: Cal Buchanon.

Oba podpisy wyglądały na autentyczne i bardzo męskie.

Tak miało być. Bunny ciężko się napracowała, by je podrobić. Wujek nie miał o niczym pojęcia.

Przynajmniej na razie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Szympanica Pooky cały ranek gotowała spaghetti. Scenariusz przewidywał, że ma robić przy tym mnóstwo bałaganu i Pooky tak wczuła się w rolę, że omal sama nie wpadła do garnka. Wszystko było ochlapane sosem pomidorowym, a oregano fruwało wokół jak konfetti.

- Dobra robota, Pooky. - Tess pieszczotliwie uszczypnęła małpę w podbródek. - Jesteś cudowna. Wszyscy cię kochamy.

Małpa spojrzała jej w oczy smutnym, ludzkim wzrokiem. Potem uśmiechnęła się szeroko, uniosła spódniczkę Tess i pocałowała ją w kolano.

Tess podskoczyła i w tej samej chwili otoczyła ją para chudych ramion.

- Sam ją tego nauczyłem. Chciałbym też ucałować zgrabne kolanko.

Mogę?

To oczywiście Thurmond Spreckles. Śmierdział szympansem i brudną bielizną. Wcisnął w jej szyję swój kościsty podbródek.

- Puszczaj! - Tess łokciem wyzwoliła się z niemiłych objęć. Wygładziła rękawy białej bluzki.

- Dasz mi kolanko do ucałowania? - Pan Małpiszon usiłował przyprzeć ją do muru.

- Nie - warknęła Tess, piorunując go wzrokiem. - Bo cię zatłukę. Doceniam cię jako tresera, ale jako mężczyzna... nie jesteś w moim typie. Uprzedzam cię, że mam dziś zszargane nerwy i mogę ostro zareagować. Wtedy pożałujesz.

- Męcz mnie, dręcz mnie, byle ręcznie - droczył się.

- Thurmond! - wściekła się Tess. - Jesteś podły.

- Uwielbiam, gdy wymawiasz moje imię. - Przysunął się bliżej. -

Skoczmy do mojej furgonetki?

- Thurmond! - Tess zacisnęła pięści.

Pooky, czując napiętą atmosferę, zaczęła podskakiwać i skrzeczeć. Wpadła na podstawę reflektora.

- Do diabła, Pooky! Trzymaj się z dala od świateł!

Tess westchnęła z ulgą i poprawiła białą plisowaną spódniczkę. Wciąż czuła wilgotny pocałunek szympansa.

- Panno Avery - odezwał się Lorne, szef kamerzystów. - Telefon do pani w drugim pokoju. Mam pomóc w okiełznaniu tego faceta? - Wskazał na Thurmonda, który tak mocno zdzielił Pooky, że ta skryła się pod stołem.

- Nie, dziękuję, Lorne. Poradzę sobie. Jeszcze cztery godziny i koniec balu - odparła, czując się bardziej zgnębiona niż Pooky.

Przeszła do pierwszego pokoju, zaaranżowanego na kuchnię do zdjęć z małpą.

Chwila wytchnienia od Thurmonda i jego obleśnych propozycji. Czemu jego zwierzęta są takie kochane, a on zachowuje się tak okropnie. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Tess, tu Delia. Jak idą zdjęcia?

- Małpa jest rozkoszna, facet wstrętny. Spaghetti fruwa wszędzie. Jeśli masz złe wieści, nie mi nie mów. Litości.

- Nie pora na miłosierdzie - odezwała się po krótkiej pauzie Delia. - Mamy kłopot. Musimy działać szybko. Chodzi o kalendarz.

- Co się stało? - Tess zmarszczyła brwi. - Wybrałyśmy piętnastu potencjalnych kandydatów. Opublikowałyśmy zdjęcie najlepszego, tego Buchanona. Czytałaś wczorajszy „World Herald”? Trzy sąsiadki powiedziały mi, że to ich zdaniem najprzystojniejszy mężczyzna.

- Tak. Owszem. Niektóre nawet dzwoniły. Ten facet wzbudza sensację, ale wlażyliśmy na minę.

- Jaką? - Tess zaczęła pocierać czoło. Ostatnio zdarzało jej się to często. - Jak to możliwe? Delia, przecież Buchanon przysłał nam zdjęcia i podpisał zgodę na publikację.

- Nie. - Delia z trudem panowała nad sobą. - Niczego nie podpisywał. Nie widział żadnych zdjęć. Nigdy do nas nie pisał.

- Co? - Tess przymknęła oczy. Głowa bolała ją coraz bardziej.

- List był lipny - wyjaśniła z niesmakiem Delia. - Podpisy sfalszowane. Tess, on jest wściekły. Grozi procesem za opublikowanie jego zdjęcia w prasie. Mówi, że nie ma mowy o kalendarzu. Jakimkolwiek.

- Proces? Nie będzie kalendarza? - przeraziła się Tess. - Musi tam się znaleźć. Jest naszym najmocniejszym atutem. Nalegała na to pani Madigan. Delia, już wysłałam jego zdjęcie z notatką do pism ogólnokrajowych. Musi wysłuchać naszych argumentów.

- Kochanie, ten człowiek jest tak wściekły, że nic do niego nie dociera.

Tess poczuła się słabo. Rozzłoszczony klient gotów jest storpedować jej projekt.

- Zadzwoń do niego.

- Wyłączył telefon. Zabronił wszelkich kontaktów i skierował nas do swego adwokata, pana Noble'a J. Jenningsa.

- Czy pani Madigan o tym wie? - Tess zgrzytnęła zębami.
- Dzwonił do niej. Odczytał jej akt oskarżenia. Jest przerażona.

Tess mocniej potarła czoło. Przerażona? Nigdy nie widziała pani Madigan nawet zaniepokojonej. Ta kobieta miała stalowe nerwy.

- I co ona zamierza zrobić?
- Chce, żebyś pojechała i porozmawiała z nim osobiście.
- Co? Mam jechać do człowieka, który przeraża nawet panią Madigan?
- Tak. Dziś wieczorem.
- Dziś? - Tess omal nie zemdląła. - Delia, czy wiesz, co mnie jeszcze

dzisiaj czeka? Spędziłam poranek z szympansem, rozrzucającym wokół siebie mielone mięso, i z Thurmondem Sprecklesem, włączającym mi pod spódnicę. Pojadę do hrabstwa Lawler, ale na pewno nie dziś wieczór.

- Kochanie, musisz. Pani Madigan jest załamana. Zależy jej na Buchanonie. Pokłada w nim nadzieje na powodzenie kalendarza. Ten projekt, to jej ukochane dziecko.

A ja jestem niańką tych jej ukochanych dzieci, pomyślała Tess. Jeśli jej teraz nie pomogę, nie załatwi mi pracy w Nowym Jorku. Może nawet mnie wyleje. Moja wspaniała kariera skończy się, nim zdoła się zacząć.

Milczała przez dłuższą chwilę. Jakim człowiekiem jest Cal Buchanon? Czemu nie chce wesprzeć swoim zdjęciem akcji charytatywnej? Jego upór stanowił zagrożenie dla pracy i przyszłości Tess. Nie lubiła takich mężczyzn. Przypominali jej upartego, stawiającego na swoim ojca.

- Cóż - rzekła z rezygnacją. - Chyba jednak pojadę do hrabstwa Lawler. I pewnie już nie wrócę. To będzie cud, jeśli mój grat dowiezie mnie choćby do rogatek.

- Wiem, przykro mi, Tess. Kto mógłby przypuszczać, że wszystko tak się skomplikuje?

- To pewnie sprawa jego siostrzenicy. Za wszelką cenę chciała opublikować swoje prace.

- Prawdopodobnie - westchnęła Delia. - Gdybym mogła dostać ją w swoje ręce...

- To może nam pomóc. - Tess rozpaczliwie chwytła się ostatniej deski ratunku. - Działaliśmy w dobrej wierze. Musiała sfalszować wszystko, licząc na przyjęcie zdjęcia. Kiedy Buchanon ochłonie, sam przyzna nam rację.

- Pozostaje jedynie mieć nadzieję. Pani Madigan twierdzi, że rozmowa z nim to gadanie do obrazu. Nic nie działała.

- Zrobię, co się da.

Pożegnała się z Delią i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę gapiała się w okno, rozcierając czoło.

Nie słyszała skradającego się z tyłu Thurmonda. Nagle poczuła odór, a Pan Małpizyon wycisnął na jej szyi wilgotny pocałunek.

Odwróciwszy się, wpadła w jego ramiona.

- Twoja szyjka - wysapał - jest pociągająca.

Kiedy usiłował ją pocałować, odepchnęła go, przypadkiem następując mu na but siedmiocentymetrowym obcasem. Coś trzasnęło, może kość.

- Au! - wrzasnął Thurmond, wpadając na kanapę. Wymachiwał obolałą nogą. - Prawie mnie okaleczyłaś. Avery, zrobiłaś to naumyślnie!

- Nie - odparła przez zęby Tess. - Choć chciałabym. I przysięgam, że następnym razem tak zrobię.

Wyszła z kuchni. Nie miała najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Jesteś zimna, Avery! - krzyknął za nią. - Zimna i okrutna. Twój problem polega na tym, że nie wiesz, jak przyjąć chłopca. Wszyscy to mówią. Całe miasto uważa cię za zimną rybę. Czemu choć raz nie zachowasz się, jak przystało na kobietę?

Ostatnie zdanie ją ubodło. To samo powtarzał ojciec. „Zachowuj się, jak przystało na kobietę”. „Od rządzenia są mężczyźni”. „Musisz znać swoje miejsce”. Tess nie miała jednak zamiaru przejmować się tym, co gadają inni, a

już najmniej dać się popychać mężczyźnie. Ani Thurmondowi Sprecklesowi, ani, w razie czego, Calowi Buchanonowi.

Hrabstwo Lawler leżało o ponad dwie godziny jazdy od centrum Omaha, jednak ostatnie trzydzieści kilometrów krętej drogi małe, mocno sfatygowane auto Tess przebyło krztusząc się i rzeżąc.

Odetchnęła, gdy wreszcie dotarła do brukowanych uliczek Lawler. Minęła okoloną olbrzymimi wierzbami szkołę pomaturalną o przedziwnej nazwie. Uderzył ją panujący wokół spokój. Przypominał jej własną szkołę. Cóż, pomyślała gorzko, lepiej się nad tym nie zastanawiać.

Samochodzik Tess wydał serię niepokojących dźwięków. Najwyraźniej nie doceniał uroku wierzb i spokoju. Lekceważąc te oznaki, Tess podążała dalej na zachód, mijając miasteczko Wakefield. Jechała teraz wąską, polną drogą pośród falujących łąk owsa. Dostrzegła kilka stad krów i konie na pastwisku.

Jeśli to wszystko należy do Cala Buchanona, pomyślała, to trafił mu się wyjątkowo wielki kawał północno-wschodniej Nebraski. W dodatku bardzo urozmaicony.

Buchanon mieszkał na uboczu. Minęła dwie farmy wyglądające na opuszczone. Przypomniała sobie własne życie na farmie i zrobiło się jej żal, że ten świat odchodzi w przeszłość. Ostatnio wyprowadziło się tylu farmerów, że Buchanon pozostał chyba ostatni w okolicy.

Zapach wiejskiego powietrza przywołał falę wspomnień. Stawiła im jednak opór. Kiedy dojechała do skrzynki na listy z nazwiskiem Buchanona, zapadał zmierzch. Niebo przybrało barwę ciemnej lawendy.

Skreśliła z drogi. Samochód zaprotestował kolejną serią trzasków. Równie głośno waliło jej serce. Przez całą drogę nie zastanawiała się nad czekającą ją rozmową. Teraz musiała o tym pomyśleć.

Przygotowywała się do spokojnej, rzeczowej dyskusji z rozsierdzonym mężczyzną. Był przystojny, ciemnowłosy i wysoki, lecz zarazem tępy, uparty i zamierzał skarżyć jej agencję. Może nawet nie wpuści jej za próg i przegoni ze

strzelbą w rękę. To dlatego pewnie dotąd się nie ożenił, dziwaczny odludek, prawie psychopata.

Przekonana, że ujrzy ponury gmach w stylu amerykańskiego gotyku, pełen duchów, zdziwiła się, widząc wyłaniający się zza wyniosłych sosen nowoczesny, ładny domek z czerwonej cegły. Wzdłuż ganku kwitły peonie.

Na powitanie wybiegł biało-złoty owczarek collie. Ujadał przyjaźnie, machając ogonem. Tess wyczuła, że pies nie przedstawia dla niej zagrożenia. Przypominał jej starego collie z farmy. Szlochała, gdy ojciec wygnał psa, kiedy przeprowadzali się do miasta. Nie wracała do tego myślami od lat.

Samochód zatrzymał się, zgrzytając i trzeszcząc. Zza domu na gniadym koniu półkrwi wyjechała szczupła, jasnowłosa dziewczyna. Okolone długimi rzęsami oczy wydawały się dziwnie znajome.

Siostrzenica, odgadła Tess. A więc to jest ta znakomita fotograficzka, oszustka i fałszerka w jednej osobie.

Dziewczyna zerknęła na tablicę rejestracyjną auta. Zeskoczyła z konia i odwołała psa. Kiedy Tess wysiadała z samochodu, szybko otaksowała jej strój.

Tess czuła się wymięta i nieświeża po całym dniu pracy. Zorientowała się jednak, że dziewczyna docenia jej gust - biała, plisowana spódniczka, bluzka z długim rękawem, czarny pasek oraz czarny naszyjnik i kolczyki w stylu *art nouveau*.

Nastolatka wzięła konia za uzdę i podeszła bliżej. Była ładna, miała rozbrajający uśmiech.

- Cześć - powiedziała. - Jesteś z Omaha. Wyglądasz jak ktoś z kręgu sztuki. Czy jesteś z tej agencji, która tak rozwścieczyła wujka Cala?

Tess zastanawiała się, czemu dziewczyna jest taka spokojna i zadowolona. Powinna mieć poważne kłopoty.

- Tess Avery z Agencji Reklamowej Madigan. Chcę porozmawiać z twoim wujkiem. A ty pewnie jesteś autorką zdjęć, Barbarą Jane.

- Barbara Jean - poprawiła. - Możesz nazywać mnie Bunny, jak on. Nie chce pojąć, że dorastam. - Zerknęła znacząco w stronę domu.

- Bunny - zaczęła Tess, biorąc się pod boki. - Z przykrością muszę stwierdzić, że narobiłaś mi masę kłopotów. Nie powinnaś pisać tego listu ani fałszować podpisów.

Bunny spojrzała na nią z miną skrzywdzonej niewinności. Poklepała owczarka. Pies pomachał ogonem.

- Nie chciałam sprawiać kłopotów - odparła szczerym tonem. - Uważałam tylko, że wujek będzie idealnie pasował do waszego kalendarza. Wszyscy twierdzą, że jest przystojny, no ale nie muszą z nim mieszkać. Chciałam wykorzystać okazję i zostać fotografem. Ale on uważa, że jestem głupia.

Tess zaczerpnęła powietrza. Wieczorne powietrze przesycone zapachem siana, koni i świeżego zachodniego wiatru wywołało w niej tęsknotę za domem. Wróciła jednak do rzeczywistości.

- Bunny, rozumiem twoje motywacje. Nawet je popieram, ale postąpiłaś źle...

- Wiem, jest mi niezmiernie przykro. Może coś na to poradzisz. Przepraszałam i przepraszałam, ale inni go podbuntowali. Chciałam jedynie zostać zawodowym fotografem. Czy to za wiele? Nigdy niczego mocno nie pragnęłaś?

Tess spojrzała na miłą buźkę dziewczyny. Rozumiała ją aż za dobrze. Sama kiedyś chciała wyrwać się z ciasnego świata ojca do czegoś większego, lepszego. Mało że rozumiała Bunny, identyfikowała się z nią.

- Owszem - pocieszyła ją. - Ale nie wiem, czy twój wuj zechce ze mną rozmawiać.

- Ależ tak - ożywiła się Bunny. - Na pewno. Gwarantuję. A co się stało z twoim autem? Usłyszałam je z daleka. Bałam się, że wybuchnie.

- Ten samochód zawsze tak się zachowuje.

- Phi - skrzywiła się Bunny. - Myślałam, że w reklamie dobrze się zarabia, że przyjedziesz czymś szykownym. Macie wielu fotografów? Chciałabym tam pracować. Mój chłopak, Fred, również. Znasz jakieś dojścia?

Tess pokręciła głową. Czy ten dzieciak nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji?

- Nie teraz. Słuchaj, Bunny, jeśli nie porozmawiam z twoim wujkiem, sama mogę stracić pracę. Zdołasz go jakoś nakłonić?

- Jasne. - Dziewczyna skinęła głową. - Bułka z masłem. Ruszyła w stronę schodów.

- Mam tak po prostu wejść? - spytała zdenerwowana Tess.

- Pewnie. Najlepiej go zaskoczyć. Przecież nic ci nie zrobi... Co, może złapie za kołnierz i wyrzuci?

Na miękkich nogach weszła za dziewczyną do domu. Znalazła się w dużym, przestronnym salonie. Rozejrzała się ostrożnie, czy Cal Buchanan nie wyskoczy na nią z kąta.

Pokój był niezwykle przytulny. Podłogę pokrywała szara wykładzina, wzdłuż jednej ściany rozciągał się kominek. Meble obito wiśniowym materiałem. Na ścianach wisiały fotografie w ramkach. Robota Bunny, domyśliła się Tess.

- Nie ma go tu - szepnęła Bunny. - Musimy wejść do jaskini lwa. Tędy.

Poprowadziła ją korytarzem pomiędzy jadalnią a kuchnią. Z kuchni wyłoniła się wysoka kobieta z siwym warkoczem upiętym wokół głowy. Spojrzała na nie z wyrzutem.

- Bunny, kto to? Co to? Co tu robicie?

Bunny przystanęła jedynie po to, by złapać jabłko z patery.

- Nie ma sprawy, Edna, to Tess Avery z Omaha. Z agencji reklamowej.

- Z agencji? - Kobieta zdziwiła się nieprzyjemnie. - Z tej agencji? Bunny, nie możesz...

- Nie martw się, Edna.

- Bunny, nie możesz mu przeszkadzać. On...

- Wiem, co robię. To jedyny sposób. Ja się go nie boję. Bunny złapała Tess za rękę i pociągnęła dalej.

- Nie zwracaj na nią uwagi. Zaufaj mi.

Serce Tess waliło jak młotem. Bunny otworzyła jakieś drzwi i wciągnęła ją do środka. Sama usiadła z chytrą miną na fotelu koło sprzętu stereo.

Tess rozejrzała się po pokoju, ale nigdzie nie dostrzegła Cala Buchanona. Wzdłuż pokrytych dębową boazerią ścian ciągnęły się półki z książkami. W kącie stał telewizor, zwrócony w stronę dużej, brązowej sofy, odwróconej tyłem do Tess. Spojrzała pytająco na Bunny. Dziewczyna uśmiechnęła się i pokazała na sofę.

Zaintrygowana Tess podeszła bliżej i zamarła. Zamarło również jej serce. Żołądek podszedł jej do gardła.

Na sofie spał Cal Buchanon. Miał na sobie wypłowiałe dzinsy i czarną, rozpiętą koszulę z podwiniętymi rękawami w kowbojskim stylu. Jedną ręką podtrzymywał na piersi otwartą książkę. Zasnął w trakcie lektury. Coś na temat płodozmianu. Bose stopy oparł na poręczu sofy.

Czarne, falujące włosy opadły mu na czoło. Wyglądał równie pociągająco jak na fotografii. Nie golił się dzisiaj. Nie szkodzi. I tak był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Tess kiedykolwiek spotkała. I co z tego? Musi zdobyć jego zdjęcie i opublikować je w kalendarzu. Potem będzie mogła ruszać do Nowego Jorku.

Ku jej przerażeniu, śpiący, wyczuwając czyjąś obecność, otworzył jedno oko. Tess ścisnęła mocniej torebkę. Otworzył drugie oko.

Wpatrywał się w nią. Chociaż nie zmienił pozycji, naprężył wszystkie mięśnie. Zastanawiała się, co też mu chodzi po głowie.

Cal Buchanon był tak zmęczony, że w pierwszej chwili myślał, iż ma halucynacje. Nie spał całą noc, usiłując uratować chorą klacz. Gdy wreszcie nad ranem wrócił do domu, zobaczył w porannej gazecie swoje zdjęcie z adnotacją,

że będzie pozował do jakiegoś głupiego kalendarza. Telefon się rozdzwoił. Kazał Ednie go wyłączyć.

Nie pomogło. Zjawili się sąsiedzi, by pogratulować mu lub z niego zakpić. Usiłował wytłumaczyć im, że to jakaś pomyłka. Nie wierzyli. Wówczas włączył telefon tylko po to, żeby zadzwonić do Agencji Madigan i położyć kres tym bzdurom.

Bunny wpadła w histerię. Mimo że dzieciak był wszystkiemu winien, Edna wzięła ją w obronę. Sama omal się nie popłakała. Czyste szaleństwo.

Wściekły i wyczerpany, zabrał się do naprawy płotów przy północnym pastwisku, żeby trudniej go było znaleźć.

Po sześciu godzinach wrócił do domu i zdrzemnął się na moment przed kolacją. Był śmiertelnie zmęczony.

Teraz zastanawiał się, czy aby nie umarł młodo, powalony ciężkim wysiłkiem i szatańskimi zaklęciami Bunny. Dziarski, na biało ubrany anioł wpatrywał się w niego wielkimi oczami, gotów przeprowadzić Cala Buchanona na tamten świat.

Mimo że anielica miała diabelnie piękne oczy i kręcone włosy, Cal wcale się tam nie wybierał. Chciał odesłać ją z powrotem.

Coś mu się jednak nie zgadzało.

Pan Bóg przysłał mu miejskiego anioła. Szykownie ubrany, jak na wysłannika niebios, miał nawet jakąś biżuterię i zbyt staranny makijaż. Anioł wpatrywał się w niego przerażonym wzrokiem.

Co jest, u diabła? To jakaś obca kobieta gapi się na niego bezczelnie. Wdarła się do jego sanktuarium i podglądała go, gdy spał.

- Pan Buchanon? - spytała nieśmiało nieznajoma.

Przymrużył oczy. Kiedy przyjrzał się jej dokładniej, stwierdził, że wygląda na zmęczoną i udręczoną. Eleganckie ubranie było wymięte, włosy zmierzwione. Zalatywało od niej sosem do spaghetti.

Przyszło mu na myśl straszne podejrzenie. Ona na pewno jest z tej cholernej agencji. Powoli usiadł, potem wstał. Zbladła. Dobra nasza, pomyślał gorzko.

Postąpił krok do przodu, a nieznajoma się cofnęła. Zagonił ją w ten sposób w kąt biblioteki. Ręką opartą o półkę zagroził jej drogę i pochylił się, by głębiej zajrzeć w wielkie, brązowe oczy.

- Kim ty, u diabła, jesteś i co robisz w moim domu? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Jego bliskość zaparła Tess dech w piersi. Delia miała rację. To wyjątkowo trudny klient. Tess była prócz tego przekonana, że i tak wiedział, kim jest i po co tu przyszła.

- Tess Avery z Agencji Reklamowej Madigan. To ja wysłałam pańskie zdjęcie do gazet. Muszę z panem porozmawiać. Ale najpierw jestem winna panu przeprosiny. Zaszła straszliwa pomyłka. Postaramy się wszystko naprawić.

Podszedł jeszcze bliżej. W jego oczach płonął ogień. Nienawidził Tess, bez dwóch zdań.

- Popelnia pani kolejny wielki błąd. Proszę wyjść z mojego domu. Jeśli chce pani rozmawiać, proszę zwrócić się do mojego adwokata.

Złość dodała Tess odwagi. Cal miał prawo być wściekły, ale nie powinien wyzywać się na niej. Jeśli myśli, że ją zastraszy, to się myli. Poradziła dziś sobie z Thurmondem Sprecklesem, poradzi sobie i z panem Buchanonem.

Zacisnęła zęby. Był tak blisko, że czuła zapach siana, koni i gorącego słońca.

- Nie będę rozmawiała z żadnym adwokatem. Jechałam tu dwie godziny po ciężkim dniu pracy i czeka mnie dwugodzinny powrót. Próbowałam się wytłumaczyć. Musi mnie pan wysłuchać.

Oczy załśniły mu jeszcze groźniej.

- Proszę wyjść.

- Nie! - Zadarła głowę.

- Proszę natychmiast stąd wyjść, bo inaczej ja sam panią wyrzucę.

Teraz Tess rozzłościła się na dobre. Może i był przystojny, ale za to głupi jak osioł. Wycelowwała weń wskazujący , palec.

- Jeśli mnie pan tknie, pożałuje pan chwili, w której pan mnie spotkał.

- Już żałuję - warknął Cal. - Uprzedzam po raz trzeci. Proszę stąd wyjść.

- Po raz trzeci mówię: nie - powtórzyła z uporem.

Cal westchnął z rezygnacją i zrobił coś wręcz przeciwnego, niż przewidywała Bunny. Złapał Tess i ruszył w stronę drzwi. Naprawdę miał zamiar ją wyrzucić.

Co gorsza, był wystarczająco silny, wręcz zdumiewająco. Tess kompletnie zgłupiała. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wydać żadnego dźwięku. Nie upokorzono jej równie mocno od chwili, kiedy ojciec kazał jej się wynosić z domu.

Nagle Cal Buchanon się zatrzymał. Zobaczył coś i zaklął. W jednej chwili minęła mu cała furia, lecz nadal nie wypuszczał Tess z uścisku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cal osłupiał, a Tess aż rozdziawiła buzię.

- Co? O co chodzi, wielebny - spytał zaskoczony Cal.

- Przyszedłem cię prosić, aby twoje zdjęcie zamieszczono w kalendarzu. -
Wielebny Yonke zerknął radośnie na Tess. - Zadzwoiła twoja ciotka, Edna i
powiedziała, że za nic nie chcesz się zgodzić.

Cal oparł się znów o regał. Oczy miał podkrążone, opuszczone kąciki ust.

- Czy Edna powiedziała, co zrobiła Bunny? Że sfalszowała mój podpis i
wysłała zdjęcia? Choćby z tego powodu jestem przeciwny, wielebny. Nie mam
zamiaru popierać wyskoków Bunny.

- Ależ Bunny potrzebuje wsparcia - odparł Yonke. - Rozmawiałem o niej
z Edną w zeszłym tygodniu. To dobre dziecko, tylko tańczy do niewłaściwej
muzyki.

- Heavy metalowej - zauważył ponuro Cal. - A ciotkę Ednę jak zwykle
określiła sobie wokół palca. Bunny musi się nauczyć...

- Zgoda - kiwnął głową wielebny. - Musi nauczyć się szacunku i miłości
do samej siebie. Jest inna niż pozostała dwójka. Ma niespokojną naturę.
Wyżywa się w fotografowaniu. A Edna uważa, że należy wspierać ją w tym, co
wychodzi jej najlepiej. Niech się wyszumi na tym polu.

- Pozostała dwójka? - Tess niemal zapomniała o rodzeństwie Bunny i o
tym, że jest w tym domu nieproszonym gościem.

Cal skarcił ją wzrokiem za wścibstwo.

- Marissa i John - rzekł z dumą wielebny Yonke. - Cal zajął się całą trójką
po śmierci siostry. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, gdy przejął
gospodarkę. Marissa wyszła za mąż, a John kończy college. Cal spisał się
doskonale.

- Niestety, Bunny nie jest najlepszym przykładem dobrego wychowania -
zauważył sarkastycznie Cal.

- Tylko chwilowo - polemizował Yonke. - Poszukuje niezależności. Jesteś dla niej zbyt surowy.

- Bo muszę. Czy wielebny wie, że Bunny myśli zwać z tym facetem z college'u? Jest starszy od niej o dziesięć lat.

- Wiem - westchnął Yonke. - Edna też się tym martwi. Dlatego chce, żeby mała czuła się dobrze w domu. Najpierw jednak skończmy z tym kalendarzem. Wpierw Edna zadzwoniła do mnie zaniepokojona tym, co sobie ludzie pomyślą, jeśli się zgodzisz. Rozmawiałem nieformalnie ze starszyzną kościoła. Ten projekt może bardzo pomóc wielu małym gospodarstwom. Widzieliśmy zdjęcie. Nie musisz się wstydzić. To wizerunek idealnego gospodarza, troszczącego się o swój inwentarz. Bunny wyczuła to intuicyjnie. Tak, Cal, nie wahaj się, prosimy cię o to. Jesteś zbyt skromny. Zrób to z naszym błogosławieństwem.

Tess przygryzła wargę. Cal sprawiał wrażenie rozgniewanego i oszołomionego zarazem. Nie wiedział, jak się zachować. Zmarszczył brwi i spojrzał na wielebnego Yonka.

- Ty i rada kościelna namawiacie mnie do tej, za przeproszeniem, cholernej głupoty?

- Masz przodujące ranczo. Teraz powinieneś pomóc tym, którym się gorzej powodzi - tłumaczył.

Cal odgarnął włosy z czoła.

- Mam poświęcić własną godność w imię wyższych celów?

Wielebny wstał i położył mu dłoń na ramieniu.

- Godność czerpiemy skądinąd. Byle zdjęcie nic jej nie ujmie. Jak zwykle bierzesz wszystko zbyt poważnie. Od wielu lat przytłaczał cię nadmiar odpowiedzialności. Potraktuj to jak zabawę.

- To ci zabawa - mruknął Cal. Spoglądał na Yonka, lekceważąc umyślnie stojącą obok nich Tess.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Ciocia Edna ostrożnie zajrzała do środka.

- Cal, Bunny jest naprawdę bardzo przykro. Zastałam ją za domem całą we łzach. Chciałaby wszystkich przeprosić.

Drzwi uchyliły się szerzej. Z tyłu stała Bunny z oczami zaczerwienionymi od płaczu.

- Przepraszam - powiedziała dziewczyna. - Zrozumiałam, że nie chcesz być w tym kalendarzu. Zasługuję na karę. Łudziłam się, że robię dobre zdjęcia, ale nie mam być z czego dumna. Czy mi wybaczysz?

Edna czekała w napięciu. Cal wykrzywił usta. Włożył ręce do tylnych kieszeni dżinsów.

- Dobrze - wydusił. - Wybaczam. I jestem z ciebie dumny, choć akurat nie z tego powodu.

- Och, wujku Cal - rozpląkała się znowu Bunny. Rzuciła mu się na szyję. Objął ją, poklepując niezdarnie.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego, ale Tess poruszyła ta scena.

Widać było, że naprawdę troszczy się o siostrzenicę, a jednak nie jest w stanie jej pojąć. Tess pamiętała, jak ojciec usiłował wyśmiać jej ambicje. Nie współczuła Calowi.

- Cal - odezwał się wielebny Yonke. - Dla dobra małej i całej gminy, zgódź się.

- To dla dobrej sprawy - wsparła go Edna. Nerwowo poprawiła splecione włosy. - No i przyjmą prace Bunny.

Tess wstrzymała oddech. Cal opiekuńczo otoczył Bunny ramieniem. Dziewczyna wypłakiwała się na jego piersi. Miał wyraz twarzy skazańca. Spojrzał na Tess.

- Lepiej dawać niż brać, powiada Pismo Święte - przerwał milczenie Yonke. - Cal, Bóg kocha hojnych dawców. Twoim sąsiadom nie powiodło się tak, jak tobie. Pomyśl, jak bardzo pomoże im zdjęcie zrobione przez Bunny.

Cal wpatrywał się nienawistnym wzrokiem w Tess.

- Prosimy - zaatakowała go Edna. Spojrzał na nią z wyrzutem.

- To głupia sprawa. Ale jeśli w ten sposób uwolnię się od was wszystkich i prześpię choć trochę, to zgoda.

Znów spojrzał na Tess. Z jego wzroku wyczytała, że w przeciwieństwie do Bunny, nie wybaczy jej tego.

- Wykorzystajcie to głupie zdjęcie - rzekł. - Kogo to wzrusza?

Jednak z jego tonu wynikało, że wielce go to obchodzi. Wielebny Yonke uśmiechnął się od ucha do ucha. Edna klasnęła w dłonie. Twarz Cala stężała.

- Kocham cię, wujku Cal! - wykrzyknęła Bunny, całując go w zarośnięty policzek. Coś zakłuło w serce Tess. - Jesteś wspaniały i uratowałeś pannę Avery. Może chcecie, żebym dla was sfotografowała również innych mężczyzn? Jestem dobra i tania...

- Bunny! Nie waż się fotografować żadnych obcych facetów! - ryknął Cal. Spojrzał na Tess, jakby chciał powiedzieć: to twoja wina. Skoro już wybaczył Bunny, Tess stała się obiektem jego pretensji.

- Zaiste szczęśliwe rozwiązanie - ucieszył się wielebny Yonke. - Nie zabieram wam czasu. Cal, czuję, że wyniknie z tego wiele dobrego. Panno Avery, znalazła pani wartościowy obiekt do waszego kalendarza. Trudno o kogoś lepszego. Cóż, może Cal usiłował przerazić panią groźnym spojrzeniem, ale jest bardzo, ale to bardzo dobrym człowiekiem.

- Odprowadzę was do samochodów - rzekł kwaśno „dobry człowiek”. - Pani się spieszy, prawda, panno Avery. Do Omaha kawał drogi.

- Co do zgody na publikację - zaczęła Tess. Wolałaby, żeby podpisał ją, zanim zmieni zdanie.

- Proszę mi to pozostawić. Jutro prześlę pocztą. Bunny - rzucił siostrzenicy karcące spojrzenie - wie chyba, jak się to wypełnia.

- Cóż, czułabym się lepiej - Tess zaśmiała się nerwowo - gdyby pan podpisał to od razu. W naszym fachu...

- Jutro. - Cal ujął ją pod rękę i prawie wypchnął z pokoju. Za nimi podążyła reszta.

- Ale...

- Jutro - uciał krótko.

- Nie musi mnie pan prowadzić za rączkę - zaprotestowała Tess. Dotyk Cała z jednej strony ją gniewał, z drugiej zaś budził uczucia, których nawet wołała nie nazywać po imieniu.

- Wolę mieć pewność, że pani wyjdzie. Spokojnie. Nie sprawia mi to przyjemności. To znaczy, zalatuje od pani sosem do spaghetti.

- To dlatego, że przez całe popołudnie pracowałam z inną wielką małpą - wyrwało się Tess. Powinna się powstrzymać. Nie należało go drażnić.

- Mało śmieszne - zauważył. - I nie tłumaczy, czemu pachnie pani jak talerz makaronu. Czy to ostatnia miejska moda?

- Mówię szczerze. Przez cały dzień kręciłam reklamówkę z małpą gotującą spaghetti. Przyjechałam wprost tutaj - wyjaśniła. Nie dodała, że małpa zachowywała się przyjaźniej.

- Zmuszaliście biedną małpę do pitraszenia? Zbieracie na fundusz dla biednych kucharzy, czy na bezrobotne małpy? - zakpił.

Sprowadził ją po schodach z szybkością błyskawicy.

- To akurat będzie urocza reklamówka. Dla restauracji Pasquerali. Pod hasłem: „Nasi kucharze nie dostają małpiego rozumu”.

- Jakie to odkrywcze. Może być pani dumna z tak wzniosłego hasła. - Otworzył drzwi autka Tess, czekając niecierpliwie, aż wreszcie wsiądzie.

Ta uwaga zabolą ją, jednak zmilczała.

- Nasza agencja jest świetna. Dostajemy mnóstwo nagród.

- Owszem - odparł drwiąco. - Za małpi rozum. Do widzenia, panno Avery. Szczęśliwej drogi.

Tess tylko pokręciła głową i wsiadła do samochodu. Cał dokładnie zamknął drzwi, jakby bojąc się, że wróci.

Cofnął się i spojrzał w stronę ruszającego auta wielebnego Yonke. Edna i Bunny machały mu na pożegnanie.

Zmęczona i zdenerwowana, Tess przekreśliła kluczyk w stacyjce i wcisnęła pedał gazu. Chciała jak najszybciej oddalić się od Cala Buchanona. Może i był przystojny, ale woląla oglądać tego uparciucha wyłącznie na zdjęciu. Stosunki między nim a Bunny zbytnio przypominały jej perypetie z własnym ojcem.

Nic. Spróbowała powtórnie.

Rozrusznik jęknął ze trzy razy, potem zaległa cisza.

Do diabła, pomyślała Tess. Awarii auta spodziewała się od miesięcy, a ta, jak na złość, musiała przytrafić się akurat teraz. Choć nie odwróciła głowy, wiedziała, że Cal zmierza w jej stronę.

Oparł ręce na dachu. Jeszcze raz przekreśliła kluczyk w stacyjce. Martwa cisza.

- Co się dzieje? - syknął ze złością.

- Nie chce zapalić.

- Jakaś kolejna sztuczka?

- Sztuczka? Rano muszę być w pracy. Nie chciałabym utknąć gdzieś w głębi kraju w pańskim towarzystwie - odparła, nie siląc się na uprzejmość.

- Pewnie zalała pani świece. Ja spróbuję.

Niezgrabnie wysiadła z samochodu, ocierając się o niego ramieniem. Oboje odskoczyli od siebie. Delikatny dreszcz przeszył ciało Tess. Jakże cię nienawidzę, pomyślała.

Cal spróbował dwukrotnie uruchomić samochód, wreszcie zaklął. Tess westchnęła i oparłszy się o auto, ukryła twarz w dłoniach.

Teraz będzie musiała prosić tego grubianina, żeby podwiózł ją do motelu. Przyjdzie jej zapłacić za nocleg i naprawę, a w dodatku straci cały dzień pracy. Nie stać jej na to. Ma przecież do spłacenia dług za studia i na dodatek podpadnie pani Madigan.

Wysiadł i trzasnął drzwiczkami samochodu. Ruszył w stronę domu. Edna zastąpiła mu drogę.

- Co się stało?

- Bo ja wiem. Chyba pompa wodna. Zadzwoń do warsztatu Harva. Niech weźmie auto na hol, a panią Avery odwiezie do motelu w Wakefield.

- Ależ, Cal, tak nie można. Zrobiło się późno, a my mamy mnóstwo wolnych pokoi. Panna Avery może zostać u nas.

Cal zerknął na Tess. Nawet w mroku widziała niechęć w jego oczach. Już miał zamiar zaprotestować, gdy do Tess podbiegła Bunny i objęła ją ramieniem.

- Zostaniesz z nami, prawda? Jestem ci to winna. To przeze mnie musiałaś tu przyjeżdżać. Edna nie ma nic przeciwko temu.

- Cal - oświadczyła stanowczo Edna. - Jesteś nieludzko zmęczony i dlatego zachowujesz się dziwnie. To zwykła przysługa.

Edna była równie miła, co Bunny narwana. Tess od razu ją polubiła. Lubiała nawet Bunny, mimo iż dziewczyna przysporzyła jej tylu kłopotów. Wadził jej jedynie Cal.

- Panno Avery - ciągnęła Edna. - Bunny ma rację. Mamy mnóstwo wolnych pokoi. Proszę zostać u nas na noc.

Tess pokręciła głową.

- Chyba pan Buchanon jest odmiennego zdania. Czułabym się skrepowana.

- Cal nie jest człowiekiem bez serca. Poznała go pani ze złej strony, proszę dać mu szansę pokazania się z dobrej.

- Wracam do domu - odezwał się Cal. - Idę spać, a wy róbcie, co się wam żywnie podoba, tylko dajcie mi święty spokój.

- No proszę, lekceważy mnie - powiedziała Tess.

- Lekceważy wszystkie ambitne kobiety. - Bunny zadarła hardo głowę.

- Bunny - zgorszyła się ciotka. - Przed chwilą mówiłaś mu, że go kochasz i jesteś mu bardzo wdzięczną.

- Owszem, ale tak właśnie jest i o to wciąż się kłócimy. Przypominam mu moją matkę, a Cal tego nie znosi. Dlatego uwielbiam Freda, bo on przynajmniej nie boi się działających nowatorsko osób.

- Bunny - jęknęła Edna. - Proszę nie zwracać na nią uwagi, panno Avery. Mieliśmy ciężki dzień i przysporzyliśmy pani kłopotów. Niech pani nie odmawia. To będzie dla nas zaszczyt.

Tess zawahała się. Zaproszenie płynęło ze szczerego serca.

- I tak nie możemy odwieźć cię do motelu. Cal poszedł spać, ciocia nie prowadzi po nocy, a ja mam zakaz.

- To prawda - skinęła głową Edna. - Kurza ślepotą. Cal za karę zabronił Bunny prowadzić przez tydzień.

- Dwa - sprostowała Bunny.

- Chyba trafił się wam gość. - Tess bezradnie wzruszyła ramionami.

- Świetnie - ucieszyła się Bunny. - Pożyczę ci moją koszulę nocną.

- Może chce pani ciasta z mlekiem? - zaoferowała się Edna. - Kieliszek sherry? Mogę podgrzać resztę zupy.

- Nie, dziękuję - Tess czuła się oszołomiona.

Po raz pierwszy od lat przyszło jej spędzić noc na farmie. To ją przerażało i podniecało zarazem. Po latach walki o wydostanie się z nebraskiej wsi, powróciła niespodziewanie.

Teraz miała spać pod jednym dachem z najprzystojniejszym mężczyzną w całym stanie, który dowiódł zarazem swego uporu i gruboskórności. Odpychał ją i pociągał, a to uczucie było jej bardzo nie na rękę. Złościło ją.

Wiał wiatr, grały świerszcze, odezwała się cykada. W oddali ryknęła krowa. Te znajome dźwięki przeniosły ją z powrotem w świat dzieciństwa. Coś jęknęło w duszy Tess.

Z bijącym sercem i ściśniętym gardłem podążyła za Bunny do domu Cala Buchanona.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przestronna sypialnia, pełniąca rolę pokoju gościnnego, była bardzo piękna i typowo kobieca. Zdaniem Tess należała przedtem do drugiej siostrzenicy Cala, Marissy. Długie, białe zasłony w niebieskie kwiatki były związane błękitnymi wstążkami. Na łóżku leżała dobrana kolorystycznie kapa. Podwójne, mosiężne łóżko miało wyjątkowo subtelną konstrukcję. Dębową podłogę pokrywały dywaniki.

Na ścianach wisiały zdjęcia. Biało-błękitna porcelanowa lampa na stole świeciła zapraszająco. Przez otwarte okno wiatr niósł woń siana, głos świerszczy i delikatnie kołysał zasłonami.

Tess stała przez chwilę bez ruchu, tuląc do piersi koszulę nocną Bunny. Pokój był uroczy, prawie jak z dziewczęcego snu, a mimo to budził w niej dziwne odczucia. Tak jakby znalazła się u siebie po długiej nieobecności. Może sprawił to spokój i cisza znanej jej z dzieciństwa wiejskiej nocy.

Pokręciła głową, odłożyła nocną koszulę na toaletkę i przeczesała palcami włosy. Jej mieszkanie w Omaha znajdowało się przy ruchliwej ulicy i długo w nocy dobiegały ją hałasy i odór spalin.

Przecież wcale do tego nie tęsknię, zreflektowała się Tess. Po prostu jestem zmęczona i tyle.

Założywszy ręce na piersiach, podeszła do łóżka i zaczęła oglądać zdjęcia. Na większości z nich widniała uśmiechnięta dziewczyna o długich rzęsach Cala Buchanona, Marissa. Na innych Bunny z poważnym wyrazem twarzy. Wreszcie Cal.

Tess wstrzymała oddech. Miał wtedy o trzynaście lat mniej, podobnie jak i siostrzenice. Jedną ręką otaczał ramię chudej, piętnastoletniej Marissy, drugą przytrzymywał zapłakaną czteroletnią Bunny.

Cholera, już wtedy był przystojny. Niewiele się zmienił, prócz tego, że teraz miał bardziej męskie rysy twarzy.

Uśmiechał się, jak każdy dorosły, pragnący pocieszyć nieszczęśliwe dziecko. Wpatrywał się z troską w tonącą we łzach Bunny.

Tess zmusiła się do oderwania wzroku od tej fotografii. Wolała nie myśleć o nim z czułością. Cal Buchanan był dla niej wyłącznie zawadą. Skoncentrowała się na innych zdjęciach Marissy.

Marissa w todze i birecie na głowie ściska dyplom college'u. Cal w drogim, dobrze skrojonym garniturze, bardziej podobny do biznesmena niż rolnika, składa jej gratulacje. Śmieje się. Oboje promienieją radością i dumą. Tess odwróciła się od tego zdjęcia.

Nie myśl o nim jak o miłym mężczyźnie, bo on wcale nie uważa cię za miłą kobietę, upomniała się. A zresztą, czy chciałaby mieć coś wspólnego z człowiekiem uwiązany do mroźnej zimą i dusznej latem połaci ziemi w Nebrasce? Nie. Zerwała z takim życiem.

Rozebrała się i wzięła prysznic w lśniącej czystością małej łazience Marissy. Potem włożyła koszulę nocną Bunny.

Ponieważ Tess miała bardziej kobiece kształty, piersi mocno napięły cienką białą bawełnę.

Kiedyś obleśny Thurmond Spreckles określił je jako boskie. Cieszyła się, że nie mógł widzieć, jak wymykają się spod koszuli nocnej Bunny.

Podeszła do łóżka i zgasiwszy lampę wsunęła się pod lamowane koronką prześcieradło. Zamknęła oczy.

Upłynęła godzina, a ona nadal nie spała. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Cal nie przeklął jej i nie uśnie już do końca świata. Może to wpływ obcego łóżka lub zapamiętanych w dzieciństwie woni i odgłosów.

Westchnęła i uniosła się na łokciu. Wytłumaczyła sobie, że to skutek wyczerpującego dnia. Kiedy zamykała oczy, widziała szympansa mieszającego w garnku, podszczypującego ją Thurmonda Sprecklesa i Cala Buchanona, odmawiającego zgody na publikację. W dodatku popsute auto. Nic dziwnego, że trapi ją bezsenność.

Gdzieś w ciemnościach zaryczała krowa. Po chwili odezwała się druga. Nie zniosę tego dłużej, zdenerwowała się Tess. Wystarczy, że takie bydlę zamuczy; a mnie zaraz prześladowają wspomnienia. Okropność.

Usiadła i przesunęła dłonią po włosach. Być może, pomyślała z rezygnacją, zamiast walczyć ze wspomnieniami, lepiej dać się im ponieść i nareszcie się od nich wyzwolić.

Spróbujemy. Na ganku stała staromodna huśtawka. Usiądzie na niej i wyrzuci z siebie całą przeszłość raz na zawsze.

Wstała, zapaliła światło i otuliła się szlafrokiem Bunny. Cichutko otworzyła drzwi. Słabo oświetlonym korytarzem przeszła na front domu. Przez rozsunięte zasłony w dużym pokoju światło księżyca srebrzyło firanki.

Wyszła na zewnątrz. Wyłożony ceglami ganek chłodził jej stopy. Spojrzała w jasne, rozgwieżdżone niebo. Czy gdzieś może być piękniejsze? Od lat nie pamiętała takiego widoku.

Zimne powietrze wdarło się do jej płuc. Śpiewały świerszcze, a lekki wietrzyk kołysał wierzbami na trawniku przed domem.

Tess wsparła się o poręcz ganka i oddychała głęboko. Wietrzyk rozwiewał jej włosy i rozchyłał poły szlafroka. Wokół unosiła się woń dzieciństwa.

To było twarde życie, choć na swój sposób piękne. W głębi duszy płakała, kiedy ojciec sprzedawał farmę. Wydawało się jej wówczas, że ludzie powinni żyć tylko w ten sposób, w harmonii z przyrodą.

Jednak czasem trudno porozumieć się między sobą, a piękna przyroda bywała przecież okrutna.

Podeszła do bujanej ławeczki. Usiadła, zamknęła oczy i wsłuchała się w granie świerszczy.

- Co, u diabła, pani tu robi? - rozległ się nad jej uchem nieprzyjazny głos.
- Czy musi mnie pani dręczyć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

Odwróciła się gwałtownie. Za huśtawką stał Cal Buchanon. Światło księżyca podkreślało wysokie kości policzkowe i twardy zarys jego szczęki.

- A co pan tu robi? - spytała Tess. Serce waliło jej tak, że z trudem opanowała drżenie głosu.

- Mieszkam tu. Wyszedłem na własny ganek, żeby usiąść na własnej huśtawce, a pani akurat zajęła moje miejsce. Proszę się posunąć.

Tess przesunęła się na drugi koniec ławeczki, otulając się szczelnie szlafrokiem. Przyglądała się z niepokojem, jak Cal podchodzi i siada obok bez słowa.

Odchylił głowę w tył i zamknął oczy. To jakieś przywidzenie, pomyślała Tess, mnie tu wcale nie ma.

Profil Cala miał tak doskonały kształt, że się zezłościła. Pachniał miętowym mydłem, włosy lśniły po kąpieli. Ubrany był w rozpiętą granatową koszulę i ciemne dzinsy. Tess zastanawiała się, czemu on również nie śpi.

Cal skrzyżował w kostkach wyciągnięte nogi. Czarne, kowbojskie buty połyskiwały w mroku. Jedną rękę położył na oparciu huśtawki, prawie dotykając ramienia Tess.

- Śledziłaś mnie? - spytał, nie otwierając oczu.

- Ja? Skądże - zachnęła się, poprawiając szlafrok. - To ty się do mnie podkradłeś. - Ona też przeszła na „ty”.

- Stałem na widocznym miejscu. Za huśtawką.

- Owszem. W cieniu, ubrany na czarno, jak jakiś ninja. Ziewnął.

Mój Boże, pomyślała Tess. Jest przystojny, nawet gdy ziewa.

- Przepraszam - powiedział. - Nie jestem w towarzyskim nastroju.

- Wcale tego nie wymagam.

- Owszem - uśmiechnął się, nadal nie otwierając oczu. - Wymagasz poświęcenia ci czasu, cierpliwości, godności i rodziny. Zniosę wszystko, z wyjątkiem ostatniego. Za każdym razem, kiedy jesteś w pobliżu, włącza mi się w głowie brzęczyk alarmowy.

- I to nie daje ci spać? Ten brzęczyk? Możesz sobie darować. Jestem nieszkodliwa.

- Wątpię.

- Skoro jesteś zmęczony, a ja cię drażnię, to czemu nie pójdziesz spać?

- Jestem zbyt zmęczony, by zasnąć - odparł, siedząc bez ruchu. - A jednak, w przeciwieństwie do ciebie, ubrałem się przed wyjściem na dwór. Chyba jestem niezdolnie staroświecki.

Tess otuliła się jeszcze szczelniej cienkim szlafrokiem. Nagle noc wydała się jej bardzo zimna. Obecność Cala wywoływała u niej dreszcze. Z wysiłkiem oderwała od niego wzrok.

- Również nie mogłam zasnąć.

- Jest za cicho - uśmiechnął się zgryźliwie. - Tak twierdzą wszystkie mieszcuchy.

- Przywykłam do tego bardziej, niżbym chciała - odpaliła. - Nie jestem z miasta. Wyrosłam na farmie.

- Ha. - Otworzył na chwilę jedno oko.

- Co miało znaczyć to „ha”?

- Ha to ha i już.

- Owszem. Na farmie w hrabstwie Frontier.

- Nie jesteś z tego zadowolona.

- Bo nie było z czego.

- Wyjaśnisz mi to? - ożywił się Cal.

- Wolałabym nie. - Miała dosyć wspomnień.

- To może ja spróbuję zgadnąć.

- Obejdzie się.

Cal westchnął i poprawił się na huśtawce.

- Jednak spróbuję. Czemu taka miła dziewczyna porzuca farmę? Woli światła wielkiego miasta. Im większe, tym lepsze - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Owszem - odparła przez zęby. Nie miał całkowitej racji, ale nie chciała dać się wciągnąć w dyskusję.

- Ale Omaha pewno już nie wystarcza - ciągnął zgryźliwym tonem. -
Marzy się coś większego. Nowy Jork? Los Angeles?

- Nowy Jork. Skąd wiesz? - zerknęła na niego ostrożnie. Nadal siedział z zamkniętymi oczami.

- Już to widziałem - ziewnął.

- Masz dar jasnowidzenia? - zdenerwowała się. - Ciekawe.

- Umiem patrzeć. - Przetarł dłonią twarz. - Obserwowałem cię dzisiaj.

Byłaś przerażona. Twoja przyszłość waliła się w gruzy. Z twojego ubioru, stylu bycia, łatwo wywnioskować, że jesteś kobietą usiłującą do czegoś dojść. Bałaś się, że ci w tym przeszkodzi.

Tess wyprostowała się. Przypomniała sobie, co Bunny mówiła o stosunku Cala do ambitnych kobiet. Pogardzał nimi, ten staroświecki męski szowinista.

- A cóż w tym złego, że kobieta pragnie coś osiągnąć w życiu?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Absolutnie nic. Pod warunkiem, że robi to na swój rachunek. Ty chcesz osiągnąć to moim kosztem.

Spojrzała na niego z niechęcią. Nie zwracał na nią większej uwagi niż na dokuczliwą muchę.

- Niczego nie usiłuję osiągnąć twoim kosztem. Po prostu namawiałam cię do udziału w charytatywnym przedsięwzięciu, mającym pomóc rolnikom w całym stanie i...

- Daruj sobie. - Odwrócił głowę i spojrzał w jej stronę. - Rozumiem, czemu pracujesz w reklamie. Łżesz doskonale.

- Nie jestem kłamczuchą - zaprotestowała żywo. - I nie masz prawa tak mnie nazywać. A skoro już masz zamiar mnie obrażać, przynajmniej patrz mi w oczy. - Dotknęła go, zwracając uwagę, że znów zamyka oczy.

Popatrzył na nią z niechęcią. Przez ciało Tess przebiegł tak silny dreszcz, że pożałowała swego gestu.

- A po co miałbym na ciebie patrzeć? Widziałem, co masz mi do zaoferowania. Nieźle, ale jestem zmęczony, więc nie próbuj mnie kusić, dobrze?

Tess w pierwszej chwili zaniemówiła. Co też mu chodzi po głowie?
Odruchowo zacisnęła dłonie w pięstki.

- Że co? Czym cię kuszę? Co takiego niby oferuję? Westchnął i spojrzał znacząco na kusy szlafroczek.

- Siebie. I przyznam, że to ponętna oferta. Tess poczerwieniała z wściekłości.

- Ja cię uwodzę? - spytała z niedowierzaniem. - Świnia.

- Spokojnie. - Uniósł ostrzegawczo rękę. - Miałaś mnie poznać z dobrej strony. Nazywając mnie świnia, trudno będzie to osiągnąć. Tym razem puszcze wszystko w niepamięć.

- Nie miałaś prawa mówić, że ci cokolwiek oferuję... Cal poprawił kołnierz jej szlafroka.

- Skoro wychodzisz za mną w księżycową noc, ubrana w te prześwitujące fatalaszki, stajesz tak, by odsłonić wszystkie swoje wdzięki, przyznam, że przeurocze, cóż... miałem prawo tak przypuszczać.

Policzki Tess wręcz płonęły.

- Tylko dlatego, że jesteś przystojny, nie musisz się uważać za nieodparcie pociągającego.

- Wcale się za takiego nie uważam. Przywiązujesz zbyt wielkie znaczenie do wyglądu ludzi. Ja oceniam ich inaczej. Proszę, idź już do domu i zachowuj się, jakby nic nie zaszło.

- Nic nie zaszło? - oburzyła się Tess. - Nie miałam pojęcia, że cię tu spotkam.

- Proszę wracać - powtórzył tonem, jakim mówi się do niegrzecznego dziecka. - Nie udało się. Po co było kusić mnie seksualnie? Przecież obiecałem podpisać zgodę.

Tess zerwała się z ławeczki.

- Nigdy w życiu nie wykorzystywałam moich wdzięków do...

Cal wstał również.

- Odprowadzę cię do środka. Skoro tak, to była to najlepsza imitacja uwodzenia, jaką kiedykolwiek widziałem. Dodam jednak, że nie lubię, gdy się mną manipuluje.

Ujął Tess za przedramię i pociągnął w stronę domu. Opierała się, bezskutecznie usiłując uwolnić rękę. Był zbyt silny. Jego dotyk wręcz parzył jej skórę.

- Proszę trzymać ręce przy sobie. Nikt nie chce cię wykorzystać. Czy też może wierzysz, jak dzicy, że zdjęcie skradnie ci duszę?

- Chyba rzeczywiście jestem dziki, bo, co gorsza, uważam ten projekt za poniżający. Po całym stanie rozejdzie się moje zdjęcie, przedstawiające półnagiego byczusia. Jeszcze wczoraj byłem szanowanym obywatelem, a teraz stanę się obiektem niezdrowych zainteresowań erotycznych.

- Biedactwo - zakpiła Tess, gorączkowo usiłując wyrwać się z uścisku. Przyciągnął ją bliżej.

- Nie ma w tym nic śmiesznego, że nie lubię występować w charakterze eksponatu.

- Tylko się nie rozpłacz - rzuciła ironicznie.

- Jak mówiłem, wcale mnie to nie bawi. Trudno mi się z tym pogodzić.

Tess wzruszyła ramionami, nie zważając na wściekły wyraz twarzy Cala.

- Ja się z tym pogodziłam, no ale ja jestem osobą dojrzałą psychicznie.

- Tak? - Chwycił ją oburącz i przycisnął do siebie. - Zobaczymy.

Pocałunek nie miał w sobie krzty czułości czy delikatności. Wpiły się w nią gorące, niecierpliwe, władcze usta. Cal trzymał ją tak, że nie mogła się wyrwać.

Tess zadrżała, wpierw z oburzenia, potem ze strachu. Usiłowała się przeciwstawić, ale nadaremnie. Czuła się gwałcona fizycznie i duchowo. Kiedy zdołała wreszcie odwrócić twarz, palące pocałunki spadły na jej szyję.

- Przestań - zaprotestowała drżącym głosem.

- Jako dojrzała psychicznie osoba, spróbuj się z tym pogodzić - odparł, nie odrywając od niej ust.

Ujął palcami podbródek Tess i znów zaczął ją całować. Jedną rękę zsunął na jej biodro i przycisnął do siebie tak mocno, że niemal zabrakło jej tchu. Jęknęła, rozchylając przy tym wargi. Skorzystał z tego, sycąc się nią coraz zachłanniej.

Była przerażona jego namiętnością i swoimi mieszanymi uczuciami. Jedna jej część zareagowała prawidłowo, obrzydzeniem i wzdarcią. Pokazał jej, co to znaczy być wykorzystaną i tu miał słuszość - to było okropne. Druga część natomiast pragnęła, żeby ten pocałunek się nie skończył, lecz przeistoczył w czuły i kochający.

W oczach Tess pojawiły się łzy. Potraktował ją jak przedmiot i nienawidził go za to. Z całej duszy zapragnęła znaleźć się w swoim mieszkaniu w Omaha. Załkała.

Ręce Cala zamarły w bezruchu, mimo że nadal ścisnął ją mocno. Był spięty. Usta przestały całować ją tak zachłannie, wreszcie oderwał je od jej warg. Spojrzał jej uważnie w oczy.

Duża łza potoczyła się po policzku Tess.

- Dowiodłeś swoich racji - odezwała się smutnym głosem. - Teraz pozwól mi odejść.

- Ty płaczesz - powiedział z zakłopotaniem.

- Nie przez ciebie - odparła, opanowując się. - To dlatego, że znalazłam się w tym miejscu. - Skinęła głową w stronę domu i farmy. - Zbyt wiele nie chcianych wspomnień. Nigdy nie zmusiłbyś mnie do łez. Nie ty.

Próbowała go odepchnąć, ale nie pozwolił na to. Zaczął ocierać jej łzy.

- Nie chciałem... - Urwał, zaciskając szczęki. Odgarnął jej włosy z czoła. - Nigdy nie skrzywdziłem kobiety. Nigdy. Jestem po prostu półprzytomny ze zmęczenia. A ty mnie sprowokowałaś.

- Nie pograżaj się przeprosinami. Zachowałeś się jak brutal. Dajmy już temu spokój, dobrze? - Znów bezskutecznie starała się uwolnić.

- Nie jestem brutalem. Powinnaś to zauważyć. Gdybyś nie była taka ponętna, nic by się nie stało.

- No proszę, teraz to moja wina. Wielki samiec będzie mnie pouczał. Może mam cię przeprosić?

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, jak być nie powinno - powiedział z napięciem w głosie. - Gdybym zamierzał cię znów pocałować, zrobiłbym to zupełnie inaczej.

Spojrzała na niego pytająco, bojąc się odezwać.

- A wyglądałoby to tak - rzekł i pochylając się, pocałował ją ponownie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tess była zdumiona zmianą. Pod naciskiem ust Cala odruchowo rozchyliła wargi. Ciepły, miły zapach męczyzny zrobił na niej większe wrażenie niż zapach dobrych perfum.

Otoczyły ją silne ramiona. Cal przytulił ją mocno. Szorstka, robocza koszula drażniła piersi Tess przez cienki materiał jej odzienia. Usta miał jakby przykrojone do jej ust, całe ciało idealnie przylegało do jej kształtów. Ta doskonałość w pierwszej chwili przyprawiła ją o zawrót głowy. Objęła go za szyję, częściowo dlatego, żeby nie stracić równowagi, głównie zaś, by przywrzeć do niego jeszcze mocniej.

Jednak i ten pocałunek był równie bezduszny jak poprzedni. Pierwszy miał ją ukarać. Następny uwieść. Cal zachowywał się jak sprawnie zaprogramowany komputer. Jest wyrachowany, podstępny i metodyczny, pomyślała wstrząśnięta.

Cofnęła się. Próbował nadal ją całować, ale pochyliła głowę.

- Przestań - mruknęła, bardziej zawstydzona niż poprzednim razem. -
Znalazł się wiejski Casanova.

- Czemu? - spytał wyzywająco. - Przecież ci się podobało. Mnie również sprawiło to przyjemność. Zdaje się, że właśnie o to ci chodziło. Może jednak wpadłaś na niezły pomysł.

Miałam, niestety, rację, stwierdziła ze smutkiem. Chodziło mu tylko o łatwy, szybki podbój. W dodatku był takim egocentrykiem, że uważał sukces za oczywisty.

- Nieprawda - syknęła. - O nic mi nie chodziło. Wyszłam z domu, bo nie mogłam zasnąć.

- Owszem. Nie mogłaś spać, bo bałaś się, że się rozmyślę. Czemu nie chcesz pocałować mnie dla uzyskania większej pewności?

- Pragnęłam być sama - odparła, ignorując jego pytanie.

- Żeby zmierzyć się z demonami przeszłości. A tymczasem trafił mi się nowy - ty.

- Czy to te demony, które gnają cię do Nowego Jorku? - spytał ze złośliwym uśmiechem.

- Nie twój zakichany interes. W dodatku coś ci się pokręciło. Ty mnie wcale nie obchodzisz.

Cal wzruszył ramionami. Wziął Tess za ramiona i przesunął tak, że plecami dotykała ściany. Puścił ją, lecz wspierając dłonie o mur, zagroził jej drogę ucieczki.

- Jako osoba może rzeczywiście cię nie interesuję, ale jako środek do osiągnięcia celu? To całkiem inna sprawa. Co ja mam wspólnego z twoim wyjazdem do Nowego Jorku?

Tess spuściła wzrok. Ze złości mocniej zabiło jej serce. Zaciśnęła pasek szlafroka. Miała do czynienia z upartym, tępym człowiekiem, którego nikt i nic nie zdoła przekonać. Żeby go tak piorun strzelił!

- Nie chcesz mówić? Dobrze, spróbujmy z innej beczki. Te demony. Skąd się wzięły? Czemu masz przerażony wzrok, kiedy wymawiasz słowo „farma”, co?

Zerknęła na niego przelotnie.

- Przez mężczyzn, takich jak ty, nie cierpię wiochy.

- Nawet mnie nie znasz.

- Znam aż za dobrze - syknęła przez zęby. - Tylko byście wydawali rozkazy, żądali posłuszeństwa...

- To nie w moim stylu - odparł ze wzgardą. - Wręcz przeciwnie. Chyba cię ktoś bardzo skrzywdził - dodał łagodniejszym tonem.

- A co cię to obchodzi?

Milczał przez chwilę, potem opuścił jedną rękę, robiąc jej przejście.

- Słusznie. - Wykrzywił usta. - Co mnie to obchodzi. Niech się pani położy do łóżka, panno Avery. Sama.

- A pan niech idzie do piekła.

- Razem z innymi demonami? - spytał, unosząc brew.

- Owszem - odparła, odchodząc.

Popatrzył w ślad za nią z rozbawieniem. Kiedy weszła do środka i znów zapanowała cisza, uśmiech zgasł.

Cal westchnął ciężko, skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. To niebezpieczna kobieta, tym groźniejsza, że inteligentna i ładna. Kiedy wyszła z domu i stanęła w świetle księżyca... spod uchylonego szlafroka perłowo połyskiwały jej piersi... ta linia ramion... Co mógł sobie pomyśleć?

Pierwszy pocałunek miał ją oduczyć sztuczek. Przy następnym nie miał nic na swoje usprawiedliwienie. Wyglądała tak uroczo i niewinnie, że mimo znużenia nie potrafił się oprzeć jej urokowi. To wszystko przez zmęczenie. I ten przekłety księżyc.

Tess obudziła w Calu jakieś demony. Postąpił wbrew swoim zasadom. Dał się ponieść emocjom, nad którymi powinien panować.

Cholerny księżyc, pomyślał i pokręcił głową, próbując uporządkować rozbiegane myśli.

Pianie koguta i zapach pieczonego chleba obudziły Tess. Przez okno wpadało zimne i czyste niczym górski strumień powietrze. Usiadła, przerażona tym *deja vu*.

Nie, odetchnęła z ulgą, przyglądając się pomieszczeniu. Znajdowała się w obcym domu, czas nie cofnął się nagle.

Przypomniała sobie scenę z Calem Buchanonem na ganku. Źle postąpiła, wychodząc wieczorem tak skąpo ubrana. Na jego widok powinna natychmiast wrócić do domu. Był zły, zmęczony i rzeczywiście mógł opacznie wszystko pojąć. Poczula prymitywną chęć ucieczki. Najpierw jednak musi się upewnić, czy nic nie zagraża jej karierze.

Ubrała się pospiesznie, uczesała włosy i zrobiła staranny makijaż. W kuchni zastała Ednę. Zaspana Bunny, ziewając, smarowała grzanek dżemem. Ani śladu Cala.

Umazana mąką Edna przygotowywała cynamonowe ciasteczka. Wyjaśniła, że Cal wyszedł wcześniej. Poprosiła go o złowienie w stawie paru okoni na lunch. Oświadczyła, że nie puści Tess na czczo i usadowiwszy ją w kąciku śniadaniowym obok Bunny, przygotowała dla obu jajecznicę.

- Powinnaś dopilnować, żeby podpisał zgodę - powiedziała Bunny. - Pewnie teraz kombinuje, jak się z tego wykręcić.

- Bunny! - zaprotestowała ciotka. - Cal nigdy nie złamał słowa. Wstydz się.

- Nie podoba mu się, że chcę zrobić karierę - odparła Bunny, pochłaniając grzanekę. - Uparł się wysłać mnie do szkoły.

- Przynajmniej na rok - nasrożyła się ciotka. - Dla twojego dobra.

Bunny pogrzebała widelcem w talerzu, wpatrując się krytycznie w jego zawartość.

- Mam zostać jakąś urzędniczką czy księgową. Nudną konformistką. Cal nie lubi niezależnych, myślących kobiet, prawda, Tess? - Spojrzała na nią znacząco, a Tess przeraziła się, że dziewczyna widziała całą scenę na ganku. - Ciebie też pewnie zmusili do pójścia do liceum - ciągnęła Bunny. - Uważam, że talent jest ważniejszy od wykształcenia.

Tess pokręciła głową, nie chcąc wikłać się w rodzinne spory.

- Obie rzeczy są ważne. Ja sama chciałam studiować.

- Tak? - Bunny ułamała kawałek grzanki. - A ja nie. Ludzie są różni. - Rozmarzonym wzrokiem spojrzała w okno.

Edna westchnęła. Nalała sobie herbaty i dopełniła filiżankę Tess.

- Zadzwoń do warsztatu zaraz po otwarciu. Może uda im się uruchomić twoje auto bez problemów, jednak Cal oglądał je i nie był zachwycony.

Tess podziękowała z uśmiechem.

- Pójdę go poszukać. Wezmę ze sobą formularze. Ale nie martw się, Bunny, twoje zdjęcia zostały zakwalifikowane.

- Wiesz, to najcudowniejsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła - odparła cicho Bunny.

Duma i wdzięczność rozpromieniały jej twarz. Tess nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu odezwała się ciotka, obejmując smukłe ramiona dziewczyny.

- Najwspanialsze w twoim życiu jest to, że masz Cala.

Staw znajdował się na pustym pastwisku za wielkim ogrodzeniem. Tess minęła podwórze gospodarskie, z niechęcią obserwując kurz gromadzący się na pantofelkach. Uprzejmie skinęła pracującym tam dwóm mężczyznom.

Słońce paliło. W oddali znów zapiał kogut. Tess głęboko wciągnęła powietrze, znajome zapachy przywołały burzę wspomnień. Słodka woń siana zmieszana z ostrym odorem krów i koni.

Nie cierpię tego, pomyślała. Przypomina mi wszystko, od czego uciekłam. Nie ma się nad czym rozczulać.

Wysokie trawy łaskotały ją w kostki. Zacisnęła mocniej zęby i szła przez zagajnik wiązów i wierzb. Zanim dotarła do ocienionego od strony domu stawu, pończochy miała pozaciągane, a buty zazielenione od trawy.

Cal stał po słonecznej stronie stawu z wędką w rękę. Zarzucił ją fachowym ruchem. Tess, czując się głupio w miejskim ubraniu, podążyła w jego kierunku. Musiał zauważyć ją dawno temu, lecz zupełnie ją ignorował, jakby była niewidzialna.

Czyżby nadal uważał ją za uwodzicielkę? Wczoraj powiedział jej to bez ogródek. Mniejsza z tym, niech sobie myśli, co chce, byle zdołała dopiąć swego.

Miał na sobie znoszone, brązowe buty kowbojskie, wypłowiałe džinsy i żółtą, rozpiętą do pasa koszulę. W porannym słońcu włosy przybrały czarnogranatowy odcień. Skóra połyskiwała barwą jasnej miedzi. Stał w nonszalanckiej pozie, lecz ocienione długimi rzęsami orzechowe oczy czujnie wpatrywały się w biało-czerwony spławik. Prosty nos i wysokie kości policzkowe upodobały Cala do greckich bogów.

A niech go licho, rozzłościła się Tess. Nawet w starych łachach wyglądała tak zabójczo, że trudno wytrzymać. Przypomniała sobie, że Cal jest równie arogancki, co przystojny.

Przystanąła na moment w cieniu starych wierzb i chrząknęła głośno. Nie spojrział w jej stronę.

- Musimy porozmawiać - powiedziała, poprawiając nerwowo kolczyk.

- Więc mów - odparł Cal, wpatrując się w spławik. Tess podeszła bliżej.

Jego jedyną reakcją było lekkie ściągnięcie ust.

- Jak najszybciej wracam do Omaha - wycodziła przez zęby.

- Świetnie - zauważył beznamiętnym tonem.

Tess wyjęła z torebki przywiezione ze sobą formularze.

- Ułatwiłby mi pan pracę, podpisując zgodę. Zakończylibyśmy sprawę raz na zawsze - powiedziała oficjalnie.

- A czemuż miałbym pani coś ułatwiać? - spytał równie oficjalnie, obrzucając ją przelotnym spojrzeniem.

- Czy bawi pana utrudnianie? - Pokręciła głową ze zniecierpliwieniem.

- Niewątpliwie nie ułatwiła mi pani życia - stwierdził, obserwując ważkę, która przysiadła na żyłce. - Mam prawo się zrewanżować.

- Przepraszam, ale to nie ja się na pana uwzięłam. Nie zgłaszałam się na ochotnika do projektu kalendarza. Wyznaczono mnie do tej roboty. Przypominam, że zdjęcia z fałszywymi podpisami przesłała pańska siostrzenica. Ja nie ponoszę za to żadnej winy. Im szybciej pan podpisze, tym prędzej się wyniosę.

- Już powiedziałem. Prześlę to pocztą.

- Oszczędzi pan na znaczku pocztowym. - Tess potrząsnęła dokumentem.

- Moja szefowa jest bardzo zasmucona takim obrotem sprawy. Kiedy pokażę jej podpisaną zgodę na publikację, będzie wiedziała, że wszystko dobrze się skończyło.

- A pani będzie mogła zrobić wspaniałą karierę. Czy o to chodzi? Mój podpis otworzy pani okno na świat? - powiedział tak pogardliwym tonem, że Tess nie dbała o wykręty.

- Mniej więcej. Ale co to pana obchodzi?

Wzruszył ramionami. Pod cienką koszulą zagrały mięśnie.

- Wcale - stwierdził ironicznie. - Tylko porównuję to z szumnymi wypowiedziami o wzniosłym celu pomocy rolnikom. Oni wcale pani nie obchodzą.

- Tak się składa, że owszem, troszczę się o rolników w tym stanie...

- To po co pani wyjeżdża? Zrozpaczona Tess załamała rękę.

- A cóż to za różnica?

- Żadna. Tylko lubię mieć do czynienia z uczciwymi ludźmi.

Tess westchnęła ciężko, zdmuchując kosmyk włosów z twarzy.

- W porządku. Zatem proszę podpisać i otworzyć mi drogę do błyskotliwej kariery.

- Już powiedziałem: prześlę wam to pocztą. Proszę mnie nie naciskać, bo to niegrzeczne.

- Uwielbia pan krytykować ludzi... - zaczęła.

- Cicho, bierze,

Splawik zanurzył się parę razy i znów zamarł. Cał zmełł przekleństwo w ustach. Na rybie widocznie zależało mu bardziej niż na Tess.

- Uwielbia pan krytykować ludzi - powtórzyła. - A jak mam określić pańskie zachowanie ubiegłej nocy?

Po raz pierwszy spojrzał jej w oczy.

- Przykro mi z powodu wczorajszej nocy. Może źle oceniłem sytuację. Najlepiej zapomnijmy o wszystkim. W normalnych warunkach nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwolił. Pani ma, niestety, dar tworzenia niezwykłych okoliczności.

- I to mają być przeprosiny? - zdumiała się Tess.

Kosmyk czarnych włosów opadł mu na czoło. Odrzucił go szybkim ruchem głowy.

- Jak tam pani uważa. Moim zdaniem, tak. - Odwrócił się znów w stronę splawika.

- Czy wie pan, co to jest? - spytała Tess, szarpiąc za żyłkę. Splawik wyskoczył z wody. - Nie? No to wyjaśnię. Żyłka z robakiem na jednym końcu.

Cał z przesadną starannością odłożył wędkę. Wyprostował się i spojrzał na Tess.

- Wieczorem nazwała mnie pani świnią. Teraz robakiem. Widzę, że szybko trafiam do świata zwierząt. Zanim jednak nazwie mnie pani amebą czerwoni, przypominam, że to pani chce coś uzyskać ode mnie. Radziłbym powściągnąć język i zamknąć te śliczne usteczka.

- Nic dziwnego, że nie potrafi pan poradzić sobie z siostrzenicą - odcięła się Tess.

- Proszę zostawić ją w spokoju.

- Nadęty bałwan. Dlatego chce się stąd wyrwać. W oczach Cala zamigotały niebezpieczne błyski.

- Nie mieszaj do tego Bunny. Nic o nas nie wiesz. Przez dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy.

- Proszę wracać do Omaha. Natychmiast.

Tess zamrugła ze zdumienia i cofnęła się o krok. Cal wyjął kluczyki z kieszeni dzinsów.

- Od samochodu Bunny. Na razie nie będzie z niego korzystać, a pani auto chwilowo jest unieruchomione. Oglądałem je rano.

- Co? - spytała zmieszana. - Przyjedzie mechanik i...

- I powie to samo co ja. Proszę wziąć jej wóz i wyjechać stąd, zanim narobi pani więcej szkód.

- Szkód? Jakich szkód? - spieszyła się Tess. - Chciałam tylko...

- Po pierwsze, nie chcę, żeby wtrącała się pani do mojej siostrzenicy. Po drugie, nie lubię sposobu, w jaki pani wywiera na mnie presję. Po trzecie, nie cierpię tego, co pani robi. Reklama stwarza sztuczny świat. Ja lubię rzeczy takie, jakimi są. W związku z tym obawiam się, że będzie pani musiała wyjechać. Natychmiast.

Tess zachwiała się niczym spoliczkowana. Słowa Cala zabołały ją bardziej, niżby się tego spodziewała. Kto mu dał do tego prawo?

Włożył jej kluczyki do ręki.

- Biały mercury. Jeden z moich pracowników ma zamówioną wizytę u lekarza w Omaha w przyszłym tygodniu. Zawiezie pani auto i odbierze wóz Bunny. Adres proszę zostawić Ednie.

Tess popatrzyła na kluczyki, potem na Cala.

- Nie mogę wziąć auta Bunny. Będzie zrozpaczona... Cal położył jej palec na wargach.

- Ja jestem właścicielem. Zgodę przyślę pocztą. Teraz proszę już iść.

Cofnął rękę. Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w zmieszaniu. Tess była zła i zaintrygowana zarazem. Jaki naprawdę jest ten człowiek? Edna i wielebny Yonke rozwodzili się nad jego uprzejmością. Marissa na zdjęciu wpatrywała się w niego z zachwytem. Ale Bunny uważała go za tyrana i prawdopodobnie miała rację. Ten człowiek nie tolerował pewnego rodzaju kobiet. Takich jak Tess.

Cal, spoglądając w brązowe oczy panny Avery, niemal żałował swego grubiaństwa, lecz zdawał sobie sprawę, że nie miał wyboru. Zeszłej nocy ta kobieta doprowadziła go do ostateczności. Rano znów zrobiła to samo.

Jeszcze bardziej bał się jej wpływu na Bunny. Obecność Tess zachęcała siostrzenicę do robienia kolejnych głupstw.

Kiedy rano zajrzał do auta panny Avery, aż go odrzuciło. Pompa wodna została podziurawiona czymś ostrym, chyba szpikulcem do lodu. To z pewnością sprawka Bunny, pragnącej zatrzymać Tess na farmie.

Od samego początku, zanim jeszcze wykrył kolejny wybryk siostrzenicy, czuł niechęć i rezerwę wobec tej miejskiej ślicznotki. Wdarła się w jego życie ze swoim idiotycznym kalendarzem, narobiła mu wstydu wzmianką w gazecie i skomplikowała sytuację z niełatwą do okiełznania Bunny.

Odkąd ujrzał Tess, miał się na baczności. Przypominała mu matkę Bunny, równie inteligentną, rzutką i elegancką. W oczach Bunny, Tess Avery uchodziła za najmądrzejszą istotę na świecie, a przez to najgroźniejszą. To tak, jakby jego zmarła siostra Barbara usiłowała osiągnąć córki z za grobu.

Nie może do tego dopuścić. Będzie bronił dziewczynki za wszelką cenę. Odpędził od siebie wspomnienie pocałunków ubiegłej nocy.

- Proszę wracać - powiedział z kamienną twarzą.

Tess stała nieruchomo. Nie zamierzała odejść bez ostatniego słowa.

- Moja mama zawsze powtarzała: „Nie wszystko złoto, co się świeci”. To dobrze, że kalendarz pokaże tylko pańską postać. Wnętrze nie jest wcale interesujące - oświadczyła zimnym głosem. - Dam panu jednak radę. Mimo że kocha pan Bunny, będzie pan musiał jej ustąpić. W przeciwnym razie ucieknie daleko. I nigdy nie wróci.

Odwróciła się i poszła. Wysokie szpilki chwiały się w trawie. Klnąc pod nosem, zatrzymała się, żeby je zdjąć. Trzymając pantofelki w jednej ręce, a zadzierając skraj sukienki drugą, ruszyła ku domowi.

Cal przypatrywał się jej w zachwycie. Co za nogi!

Trafna uwaga na temat Bunny zaboląła go do żywego. Tess nic nie wiedziała o jego rodzinie, a jednak utrafiła w samo sedno. W dodatku mogła tylko pogorszyć sytuację rodzinną.

Jednak gdy spoglądał na oddalającą się Tess, coś go ku niej pociągało. W pierwszej chwili myślał, że rozbawił go jej komiczny chód na szpilkach. Kiedy je zdjęła, poruszała się zdumiewająco wdzięcznie. Nie pofatygowała się nawet, by przejść przez bramę, tylko podciągnawszy spódniczkę prześlizgnęła się pomiędzy rozpiętymi drutami kolczastymi. Zrobiła to tak zwinnie, jak dziewczyna z farmy, za którą się podawała.

Nie włożyła pantofelków i dalej szła bosą ku domowi. Cal uświadomił sobie, jak niewiele o niej wie. Co dziwniejsze, martwił się trochę o nią.

Tess, niczym jego zmarła siostra, a obecnie Bunny, żyła w dwu różnych światach.

Z jednej strony jej dom, który mieścił się wśród rozległych pól Nebraski, z drugiej należała do innej, bardziej okrutnej, choć błyskotliwej rzeczywistości.

Ze smutnego doświadczenia wiedział, że kobiety żyjące jednocześnie w tak różnych światach nie mogą należeć do żadnego z nich. Wydaje się im jedynie, że wiedzą, czego chcą, a jest to tylko złudzenie. W rzeczywistości nie potrafią zrozumieć tego, co jest w życiu najważniejsze.

Dlatego są takie niebezpieczne. Szczególnie dla samych siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Utknęłam w głuszy hrabstwa Lawler - zakomunikowała Delii przez telefon. Tak bardzo pragnęła wyrwać się z farmy Cala, że zadzwoniła dopiero ze stacji benzynowej w centrum miasteczka. - Musiałam pożyczyć samochód. Mój ma w czymś tam dziurę i trzeba było posłać po części. Wpadnę do domu się przebrać. Powiedz pani Madigan, że wszystko załatwione.

- Podpisał zgodę?

Tess jęknęła, mimo że spodziewała się tego pytania.

- Nie, ale przysiągł, że ją przyśle. Tyle wywalczyłam.

- Czy można wierzyć takiemu przystojniakowi?

- Nie mamy wyboru. Mówiono mi, że jest słowny.

- Zbyt piękne, żeby było prawdziwe - roześmiała się Delia. - Czy rzeczywiście jest taki przystojny? A może ma tylko metr pięćdziesiąt w kapeluszu.

Tess potarła dłonią grzywkę.

- Owszem, jest. I ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

- A niech to - jęknęła Delia, lubiąca wysokich mężczyzn. - To co z nim jest nie w porządku? Bo brzmi to wprost nieprawdziwie.

- Ma tylko jedną wadę - odparła Tess. - To bestia. Obrażał mnie i omal nie wyrzucił z domu.

- Cóż - stwierdziła w zadumie Delia. - Nikt nie jest bez wad.

- Thurmond Spreckles to przy nim dżentelmen - powiedziała Tess, przypominając sobie pożegnanie z Calem i ostatnie chwile przed wyjazdem.

Po burzliwej rozmowie z Calem wróciła do jego domu i zastała mechanika smętnie kiwającego głową nad otwartą klapą silnika.

- Nie wygląda to dobrze - rzekł ponuro. Dodał, że będzie musiał odstawić samochód do miasteczka i zamówić części. To zajmie co najmniej tydzień.

Kiedy odjechał z jej samochodem na lawecie, Tess wyjaśniła z zakłopotaniem swoją sytuację i decyzję Cala.

- Co? - jęknęła Bunny. - Pozwolił ci wziąć mój samochód? Nie cierpię go, nie cierpię. Chyba przyprawił mnie o wrzód żołądka. - Wybiegła z pokoju, trzymając się za brzuch.

Tess od dawna nie czuła do nikogo takiego wstępu. Edna twierdziła, że skoro Cal pozwolił jej wziąć auto, nie powinna mieć wyrzutów sumienia. Bunny dojdzie do siebie. Zawsze tak nerwowo reaguje.

Ale zamieszanie, myślała Tess, wjeżdżając na autostradę międzystanową. Nie wyobrażała sobie konfrontacji pomiędzy Bunny a Caliem. Żal jej było dziewczyny. W głębi duszy współczuła również Calowi. Bunny była równie krnąbrna co zdolna i wplątała wuja w coś, czego wyraźnie nie cierpiał.

Potem przypomniała sobie jego pocałunki, co sprawiło, że poczuła się nieswojo. Nie myśl o tym, skarciła się w duchu. Zapomnij, że cię w ogóle dotykał.

Do biura dotarła dopiero koło południa. Dla poprawienia humoru włożyła swoje najlepsze ubranie: jasnozielony lniany kostium i białą bluzkę z koronkowym kołnierzykiem.

W recepcji siedziała Delia ubrana w szykowną białą sukienkę z krótkim rękawem. Na widok Tess zrobiła dziwną minę. Ta pojęła natychmiast. Coś było nie w porządku.

Tess zatrzymała się i popatrzyła na nią. Delia wzruszyła ramionami i spuściła wzrok niczym winowajca.

- O co chodzi? - spytała.

- Witaj w domu - odparła Delia i odchrząknęła.

- Znam to spojrzenie. Mów, o co chodzi. Delia oparła łokcie na biurku i złożyła ręce.

- Na ogół jesteś opanowaną, chłodną osobą, umiejącą radzić sobie z drobnymi trudnościami. Prawda?

- To zależy - odparła ostrożnie Tess.

- Pani Madigan - ciągnęła Delia, przyglądając się swoim paznokciom - chce, żebyś wróciła do Lawler.

- Co?! Jak?! - wykrzyknęła Tess. - Właśnie stamtąd przyjechałam.

- Masz ponownie odwiedzić pana Buchanona.

- Co? - powtórzyła Tess. - Jeszcze krwawię po ostatnim spotkaniu. Czy nie mogłabym najpierw wylizać się z ran? Ten człowiek mnie, a raczej nas, nienawidzi.

- Och! - Delia spojrzała jej wreszcie w oczy. - Może. Ale kobiety za nim szaleją. Przynajmniej w redakcji „Modern Woman”. Chcą mieć z nim wywiad na pierwszą stronę.

Tess z wrażenia otworzyła usta. „Modern Woman” był największym kobiecym pismem w kraju.

- Koniecznie - powtórzyła Delia. - Zadzwończy rano do pani Madigan, twierdząc, że Buchanon to pewniak. Tekst na całą stronę. Wiesz, co to znaczy?

- To znaczy, że ten człowiek mnie zabije - pokręciła głową Tess. - Nie cierpi rozgłosu, na jaki został narażony.

- Okazało się jednak, że kalendarz może stać się krajowym wydarzeniem. Tamte dziewczyny ułatwią nam jego sprzedaż. Na tym polega stara sztuka reklamy.

- Tylko że potrzebujemy nowej zgody na publikację. A nie mamy jeszcze nawet poprzedniej. Kiedy Buchanon o tym usłyszy, może zawalić wszystko - westchnęła Tess.

- Nie możesz do tego dopuścić. Od tej chwili Buchanon jest sercem całego projektu. „Modern Woman” chce zapłacić Homestead Heritage dwanaście tysięcy dolarów za wywiad. To poważna suma, nie mówiąc o wpływie ze sprzedaży kalendarza. Pani Madigan jest bardzo podekscytowana.

Tess opadła na jedno ze stojących w holu krzeseł.

- Czy nie mogę po prostu do niego zadzwonić?

- Hm - szepnęła Delia. - Znów nie odbiera telefonów. Ktoś musi się do niego wybrać. Natychmiast. Artykuł w „Modern Woman” jest tego wart.

- A jeśli nie zdołam go nakłonić, to chyba mogę się pożegnać z moją rekomendacją do Nowego Jorku, ba, nawet z pracą. - Tess złapała się za głowę.

Delia popatrzyła na nią ze współczuciem,

- Pani Madigan nie określiła tego tak kwiecicie.

- Nie - westchnęła Tess. - Zawarła to w jednym spojrzeniu. Wiesz, tym: „Wyniki albo życie”.

- Owszem - przyznała Delia. - Tak właśnie popatrzyła. Wiesz, jaka ona jest, kiedy czegoś bardzo chce. Smoczyca.

Cholera, pomyślała Tess, przecierając oczy.

- Kiedy mam jechać? - spytała wreszcie.

- W tej chwili byłby odpowiedni moment, choć lepiej byłoby godzinę temu.

Tess z niedowierzaniem pokręciła głową. Co, u licha, ma powiedzieć Calowi Buchanonowi, zakładając, że w ogóle będzie chciał z nią rozmawiać?

- Hej - odezwała się Delia. - Przypomnij sobie słowa pani Madigan: „Nie zastanawiaj się nad trudnościami, tylko nad sposobem ich pokonania”.

Odpowiedziała jej nienawistnym spojrzeniem.

Bunny siedziała z psem na ganku. Natychmiast podbiegła do samochodu.

- Czemu wróciłaś? - spytała, wpatrując się w Tess zdumionym wzrokiem.

- Już ci naprawili auto? Odprowadziłaś moje? Omal nie umarłam, kiedy Cal pozwolił ci je wziąć.

- Przykro mi, Bunny - pokręciła głową Tess. - Nie miałam wyboru. Muszę porozmawiać z twoim wujem. Gdzie on jest?

Odruchowo ruszyła w stronę wejścia. Bunny zastąpiła jej drogę. Miała na sobie szorty i workowaty podkoszulek. Bez makijażu nie wyglądała na siedemnaście lat. Była zaniepokojona.

- Coś nie tak? Pewnie ze zdjęciami.

Miała tak przerażony wyraz twarzy, że Tess poklepała ją po ramieniu.

- Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Jednak muszę prosić go o rozszerzenie zgody na publikację. O ile się zgodzi.

Bunny wzięła Tess pod rękę.

- Co? Co się stało?

Tess, zdając sobie sprawę, że powiedziała za dużo, starała się wszystko zbagatelizować.

- Mamy szansę na zasięg ogólnokrajowy. Ale muszę z nim porozmawiać.

- Nie ma go tutaj. Ani Edny. Cal jest w stajni, a Edna w mieście. Zasięg ogólnokrajowy? W gazetach? Czasopismach? To znaczy, że moje zdjęcia rozejdą się po całym kraju? Zamieści je „New York Times”? - Bunny aż tańczyła z podniecenia.

- Bunny, uspokój się - odparła Tess. - Jest zamówienie z jednego pisma i to wszystko.

- Jakiego?

- Kobiecego.

- Z którego? Czy aby dużego?

- Bunny - poprosiła Tess, uwalniając ramię. - Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Naprawdę. W jakim nastroju jest wujek?

- Okropnym - jęknęła Bunny. - Jak zwykle. Pismo! Nie mogę wprost uwierzyć! Zadzwońię do Freda. Będzie bardzo dumny. Zawsze twierdził, że dokonam czegoś wielkiego.

Dziewczyna wbiegła do domu, pies za nią.

I co mam teraz zrobić, zastanawiała się Tess. Poprawiła białą torbę na ramieniu i ruszyła w stronę stajni. Kurz niszczył kolejną parę białych pantofelków, ale akurat nie to było jej największym zmartwieniem.

W stajni pachniało sianem i końmi, znajome zapachy dzieciństwa. Wewnątrz było mroczno, kurz wirował we wpadającym przez otwarte wrota

słonecznym świetle. Tess zmrużyła oczy i dostrzegła wreszcie Cala. Klęczał w boksie, bandażując koniowi przednią nogę.

Przystanąła w drzwiach.

- Panie Buchanon, to ja, Tess Avery. Nie chciałam pana znów niepokoić, ale zaszły pewne zmiany.

Podniósł się powoli i popatrzył jej w oczy.

- Pani? - wyrzekł przez zaciśnięte zęby. Nie był wcale uszczęśliwiony jej powrotem. Wciąż przeżywał awanturę, jaką zrobiła mu rano Bunny. Te kobiety przynoszą same kłopoty. - Kazałem pani wracać od Omaha - warknął głucho.

Tess nerwowo mięła żakiet.

- Tak też zrobiłam. Przysłali mnie z powrotem. Chodzi o rozszerzenie zgody. Możemy porozmawiać?

- Czym sobie na to zasłużyłem - powiedział z kwaśną miną. Rozejrzał się po stajni. - Zawsze pragnąłem spokojnego życia.

Tess postąpiła parę kroków do przodu. Cal spojrział z niesmakiem na jej białe szpilki i elegancki kostium.

- Czy zawsze ubiera się pani w ten sposób na wizytę w stajni?

- Gdyby odpowiadał pan na telefony, wcale nie musiałabym przyjeżdżać.

- Odruchowo podrapała siwka po głowie.

Koń radośnie podrzucił jej dłoń i musnął rękaw wilgotnym pyskiem. Cal przyglądał się temu w zdumieniu. Wreszcie ujął Tess za rękę i odsunawszy od boksu, zamknął wrota.

- Chodźmy stąd. Jeśli mój koń zje pani żakiet, będę musiał go odkupić.

Podprowadził ją pod wysoką stertę prasowanego siana.

- O co tym razem chodzi?

Znów nerwowo obciągnęła żakiet. Cal, nawet stojąc w bezpiecznej odległości, wydawał się znajdować zbyt blisko.

Mimo że odciągnął ją od konia niezbyt przyjaznym gestem, dotknięcie jego dłoni paliło ją dziwnym zarem.

Przez całą drogę zastanawiała się, jak przekazać mu tę wiadomość, układając sobie w myślach długie przemówienie. Chwyciła głęboki oddech i z trwogą w sercu wyrecytowała lekcję.

- Nie - odparł Cal, gdy tylko skończyła.

Kiedy jej słuchał, na jego twarzy malował się najpierw wyraz niedowierzania, potem przerażenia, wreszcie obojętności. Tess z niepokojem śledziła te przemiany.

- Proszę posłuchać o płynących stąd korzyściach - ciągnęła, przełknawszy ślinę. - Dwanaście tysięcy dolarów na konto Homestead Heritage, prócz tego sprzedaż tysięcy, jeśli nie dziesiątków tysięcy kalendarzy. Nie może pan odmówić.

- Mogę - oświadczył Cal. W oczach zamigotały mu niebezpieczne błyski.
- Nie zamierzam pozwolić na zamieszczenie mojego zdjęcia w jakimś głupim piśmie. Wyszedłbym na idiotę, wciśnięty między reklamy kanapek i przepisy na ciasta. Nie ma mowy. Proszę znaleźć sobie kogoś innego.

- Nie znajdę nikogo innego - odpowiedziała zrozpaczona. - Chcą pana.
Cal z niecierpliwością machnął ręką.

- Niektórzy mężczyźni lubią się fotografować. Ja nie. A jeśli już, to do albumu rodzinnego, nie dla bandy idiotów, których nie znam. Zwłaszcza dla kobiet.

- Proszę posłuchać. Nie mówię tego, by pana ocenić jednostronnie, ale jest pan bardzo przystojny. To dlatego za pańskie zdjęcie chcą zapłacić tyle pieniędzy.

- A co za różnica, jak wyglądam - pokręcił głową. - Czemu ludziom na tym zależy?

- Na tym wszystko polega - przekonywała Tess. - W kalendarzu mają się znaleźć przystojni mężczyźni.

- A czemu nie piękne dziewczyny? Niech się pani sama sfotografuje. Robi mi się niedobrze od tego gadania. Proszę dać mi spokój.

- Jak to: niedobrze?

- Zwyczajnie. - Przysunął się bliżej. - Jestem człowiekiem, a nie koniem wystawowym. Swoją wartość oceniam według tego, co zrobiłem na swojej farmie, a nie, Bogu dzięki, na podstawie wyglądu.

Tess spojrzała na niego, tracąc kontenans. Intuicyjnie wyczuła coś, co wstrząsnęło nią do głębi. Cał wcale nie był próżny, a raczej skromny i przywiązany do swojej prywatności. Prawdopodobnie przez całe życie nieznajomi oceniali go po wyglądzie zewnętrznym. Nic dziwnego, że sprzeciwiał się pomysłowi wykorzystania jego zdjęcia.

- Jasne - rzekła, odwołując się do ostatniego argumentu. - Wiem, co pan czuje, ale to w imię słusznej sprawy. Musi pan się zgodzić.

Cał niepokojąco zacisnął usta.

- Niczego nie muszę, z wyjątkiem prowadzenia farmy i opieki nad rodziną, w czym przeszkadza mi pani obecność. A jeśli nie zrozumiała pani, panno Avery, moja odpowiedź brzmi: nie. Wystarczy. I tak już zgodziłem się na zbyt wiele.

Przeciągnęła dłonią po włosach. Przygryzła wargę.

- Czy mam pana błagać? - spytała, wstydząc się tego, co mówi. - Dobrze. Błagam, Jeśli nie przez wzgląd na rolników, to dla mnie. Jeśli pan się zgodzi, zniknę i już nigdy mnie pan nie zobaczy. Przysięgam.

- Nie. Moje zdjęcie nie będzie figurowało pomiędzy artykułem „Czy uratujemy to małżeństwo”, a „Twórcze wykorzystanie serów”. Nie zgodzę się, żeby ktokolwiek mnie nazywał... Jak to pani określiła?

- Rarytas - mruknęła zażenowana Tess. - Chcą to nazwać „Rarytasy z Nebraski”.

- Rarytasy - powtórzył i zaklął. Oparł łokieć o bele siana. Tess zamknęła oczy jak przy modlitwie.

- Jestem gotowa na wszystko, byle pan się zgodził - wyszeptała i spojrzała na niego z przerażeniem. Co ja wygaduję, pomyślała.

Mierzył ją chłodnym spojrzeniem, z dezaprobatą marszcząc brwi.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - zapewniła gorączkowo. -

Chodziło mi o wszelkie rozsądne żądania pod adresem agencji...

- Wiem, co pani miała na myśli. - Pogarda w jego głosie mogłaby zmrozić wodę. Raz jeszcze zmierzył ją od stóp do głowy, niczym ktoś taksujący swoją własność.

- Nie - zaprotestowała Tess. - Nie to miałam na myśli, to zwykłe powiedzonko.

Skinął głową, jakby utwierdzając się w swym przypuszczeniu.

- Cieszę się, że pani to powiedziała. Miałem wyrzuty w związku z ostatnią nocą. Wydawało mi się, że źle panią oceniłem, w co nawet chciałem uwierzyć.

Pod jego spojrzeniem serce podeszło Tess do gardła. Cał przysunął się jeszcze bliżej. W jego orzechowych oczach czaiła się wściekłość.

- I wie pani co? Sam nie wiem czemu, ale chciałem się mylić. Gotów byłem nawet panią przeprosić.

Wpatrywał się intensywnie w jej oczy, a Tess nie mogła wydobyć z siebie głosu. Chciała krzyknąć, że nie jest taka, jak on sądzi. Czemu tak bardzo pragnie źle o niej myśleć?

- A jednak wcale się nie myliłem. - Klepnął w stertę siana. - Oszczędziła mi zatem pani rozczarowania. Cóż, stajnia to niezłe miejsce do pobaraszkowania na sianie. Nie jest pani, co prawda, odpowiednio ubrana, ale będziemy uważać.

- Z całą pewnością nie zapraszałam pana do igraszek na sianie - próbowała protestować Tess. - Bynajmniej. - Z zażenowaniem pomyślała, że czuje coś wręcz przeciwnego.

- Nie starczyło pani odwagi ubiegłej nocy - powiedział Cał, unosząc podbródek. - Ale dziś sytuacja stała się krytyczna. Proszę nie udawać niewiniątka. Nie wystarczyło kusić mnie skąpym odzieniem, musiała pani powiedzieć to wprost.

Tess aż zbladła z oburzenia.

- Nie kusiłam pana i nie złożyłam żadnej erotycznej oferty. Tak mi się po prostu wyrwało.

- Nieszczercze - uśmiechnął się gorzko. - Oboje wiemy, jak to się nazywa: przerost ambicji. Nie, panno Avery. Musi pani znaleźć sobie inny klucz do Nowego Jorku. Nie jestem ani rarytasem, ani pani biletem do kariery.

Ze zdenerwowania zakręciło się jej w głowie, przed oczami widziała migocące błyski. W piersiach zakłuło ją tak, iż zaczęła się obawiać, że zemdleje. Ten człowiek nie tylko niweczył jej przyszłość, ale jeszcze ją obrażał.

Z bijącym sercem podjęła ostatnią próbę. Wiedziała, że to nie fair, ale nie miała wyjścia.

- Musi pan to zrobić dla Bunny - odezwała się cicho. - Odmawiając, złamie jej pan serce. Nigdy tego panu nie wybaczy, o czym wie pan doskonale.

Ręka Cala błędząca po sianie nagle znieruchomiała. Spojrzał na Tess, na czole nabrzmiały mu żyły. Zmrużył oczy.

- Już jej pani powiedziała? - spytał przerażająco cichym głosem.

Tess zorientowała się, że popełniła straszliwy błąd.

- I tak się dowie.

To przecież prawda, wmawiała sobie. Bunny i tak dowie się o wszystkim.

Cal wyprostował się. Groźnie poruszył ramionami. Przybrał kamienny wyraz twarzy. Boleśnie chwycił Tess za ramię i przysunął się bliżej.

- Nic pani nie powstrzyma, prawda?

Spojrzała na niego w osłupieniu. Uścisk był coraz mocniejszy.

- Proszę mnie nie dotykać - powiedziała, przeklinając się w duchu za drżący głos.

- Myślałem, że mnie pani do tego upoważniła - zakpił.

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Jęknęła, gdy pochylił się nad nią. Wargami prawie dotykał jej ust.

- Niech pan przestanie! - syknęła i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Ogarnął ją zapach stajni. Cal uśmiechał się, lecz spojrzenie miał chłodne. Z całych sił usiłowała się wyrwać. Nadaremnie. Przycisnął ją do bel siana.

- Chyba mi pani na to pozwoliła, prawda? - odezwał się pogardliwie. - Mogę panią dotykać, gdzie tylko zechcę. I mówiąc szczerze, mam na to ochotę. Ale nie. Cena jest zbyt wysoka.

- Niech pan przestanie! - powtórzyła Tess.

- Już przestałem.

Puścił ją i cofnął się o krok. W buty wplątało mu się siano. Wciąż uśmiechał się tym dziwnym, nieodgadnionym uśmiechem. Strząsnął źdźbło z jej zakietu.

- Żegnam, panno Avery. I proszę więcej nie wracać, bo niczego nie podpiszę. - Odwrócił się i wyszedł ze stajni.

Tess przyglądała mu się z wypiekami na twarzy. Oparła się o bele siana. Serce waliło jej mocno. Sprawy przybrały gorszy obrót, niż się spodziewała. Odwróciła się i wtuliła twarz w siano, wdychając jego woń. A, co najgorsze, wszystko z jej winy. Nie powinna wspominać Bunny o czasopiśmie. Cal miał prawo tak z nią postąpić. Głupio zrobiła, usiłując wykorzystać Bunny do przekonania jej wujka. Mogła przewidzieć, że to go rozwścieczy.

Usiłowała uspokoić oddech, ale nagle przypomniała sobie swoje głupie słowa. Zaciśnęła dłonie w pięstki i uderzyła w siano. Co za głupota z jej strony. Zwłaszcza po poprzedniej nocy. To musiało potwierdzić jego najgorsze przypuszczenia na jej temat. Sama nie wiedziała, czemu tak się jej wyrwało.

Z całej siły ponownie grzmotnęła w siano. Doprowadziła do tego, że Cal uważa ją za okropną, bezwzględną, zdeprawowaną kobietę.

Wyprostowała się, przetarła rozpalone policzki i wyjrzała na zewnątrz. Dziedziniec był pusty, Cal pewnie poszedł do domu. Poprawiła ubranie i ze spuszczoną głową szybko poszła do samochodu Bunny. Wolałaby go nie brać, ale tylko dzięki niemu mogła wyrwać się z tego miejsca.

Przejechała osiemdziesiąt kilometrów, zanim zdołała się opanować, przestać myśleć o tym, jak głęboko gardzi nią Cal Buchanon.

Wówczas zastanowiła się, jak na jej porażkę zareaguje pani

Madigan. Nie była to osoba przyjmująca takie wiadomości z uśmiechem. Wynikną z tego nieprzyjemne konsekwencje, a pierwszą z nich będzie cofnięcie rekomendacji do pracy w Nowym Jorku.

Gdy tak ponuro rozmyślała, odezwał się w niej duch przekory. Nigdy dotąd nie robiła takich rzeczy. Co prawda Cal Buchanon zabronił się jej pojawiać, ale i tak złożyła mu wizytę. Usiłowała nakłonić go do czegoś, czego nie cierpiał. Próbowwała szantażować go moralnie, grając na kłopotach wychowawczych z Bunny. Wreszcie popełniła coś absolutnie niewybaczalnego, mówiąc, że jest gotowa na wszystko. To nie było w jej stylu. Nigdy dla kariery nie popełni niczego nagannego.

Nie? - spytał ją głos wewnętrzny. Kiedy dostanie się do Nowego Jorku, będzie musiała knuć, intrygować, stosować najbardziej wyszukane metody nacisku psychicznego. Już i tak wprowadziła zamęt w rodzinie Cala.

Dotąd nie była kobietą zdolną do wszystkiego dla kariery. Może zaczyna się taką stawać?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Claire Madigan, mała, korpulentna kobieta, ubierała się z wyszukaną elegancją. Siwe włosy układała w nieskazitelny koczek. Jeden z jej wrogów - jakich ma każda wpływowa osoba - zauważył kiedyś, że Claire przypomina smakowity knedelek. Ta miła powierzchowność kryła jednak stalowy charakter.

Siedząc przy osiemnastowiecznym francuskim biurku, pani Madigan zabawiała się nożykiem do papieru z litego srebra. Chłodne spojrzenie szarych oczu utkwiała w Tess.

- A więc jego odpowiedź brzmi „nie”.

Tess skinęła głową. Ze strachu przed tą rozmową nie mogła spać. Miała również wyrzuty sumienia w stosunku do Cala Buchanona.

- No, no - mruknęła pani Madigan.

Tess wpatrywała się w dłonie splecione na kolanach.

- Buchanan zdaje się mieć twardo ustalone poglądy w tej sprawie. Groził całkowitą odmową, więc chyba nie zdołamy go przycisnąć.

- Groźby - uśmiechnęła się pobłażliwie pani Madigan, spoglądając na połyskujący w promieniach słonecznych srebrny nożyk. - Ktoś kiedyś powiedział, że dopóki piłka w grze... Może zmieni zdanie. Mam nadzieję, a to przez wzgląd na dobro Homestead i moje własne. Nie mówiąc już o tobie, Tess. Jak dotąd, byłaś bardzo obiecującą osobą.

Jak dotąd. Tess struchlała. W pokoju zapanowała cisza, która nie wróżyła niczego dobrego. Pani Madigan ujęła delikatnie nożyk za oba końce.

- Gram w tę grę od dawna - powiedziała wreszcie. - Jest takie stare powiedzenie: „O wytrzymałości łańcucha decyduje jego najsłabsze ogniwo”. Chyba je znalazłam. Siostrzenica. Zaatakujesz od tej strony. Oczywiście subtelnie, wręcz aluzyjnie. Złapiesz go na małą.

- Nie mogę - najeżyła się Tess. - Nic go bardziej nie urazi.

- Ale też nic bardziej do niego nie przemówi. - Pani Madigan odłożyła nożyk na biurko i wpatrzyła się w Tess.

- To będzie nie fair.

- Za to w słusznej sprawie. Cel uświęca środki. Nie zamierzam zaprzepaścić projektu kalendarza przez czyjąś przesadną skromność. Ty też do tego nie dopuścisz.

Tess była spięta aż do bólu. Nie odważy się ponownie wtargnąć w życie Cala Buchanona.

- Może to zabrzmie ostro, moja droga - pani Madigan uśmiechnęła się słodko - ale mówią o mnie, że jestem twarda. Nieprawda. Jestem jedynie stanowcza. Kocham ten stan i postanowiłam mu pomóc. Zdołamy to zrobić.

Zdenerwowana Tess zacisnęła dłonie na kolanach. Pani Madigan wciąż się uśmiechała.

- Daj mu parę dni na ochłonięcie i dobierz się do niego. Jak mówiłam, kluczem jest siostrzenica. Wiesz, jak się za to wziąć. Jakiś artykuł w lokalnej gazecie, na przykład: „Miejscowa dziewczyna robi karierę jako fotograf” To wywrze na niego nacisk.

Tess nic nie odpowiedziała, chociaż chciała zaprotestować.

- Wiem, że sobie poradzisz. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Uśmiech zgasł. Pani Madigan przesłała Tess swoje słynne spojrzenie, mówiące, że porażka nie wchodzi w grę.

Z rezygnacją skinęła głową. Wszystko jasne.

Przez cztery dni Tess nie zrobiła nic w tej sprawie. Nadszedł litościwy weekend.

W sobotni wieczór zaszła się w swoim małym mieszkanku przy North 43. Delia namawiała ją, żeby wybrała się na przedstawienie „Makbeta”, ale się wymówiła. Nie miała ochoty oglądać sztuki o wybujałych ambicjach. Musiała też w końcu podjąć jakąś decyzję. Dłużej nie da się zwlekać.

Jej biurko było stare i poobijane, podobnie jak elektryczna maszyna do pisania. Tess siedziała boso, ubrana jedynie w dżinsy i stary, doszczętnie spłowiały czerwony podkoszulek Uniwersytetu Nebraska.

Trzymając się dłonią za podbródek, spoglądała na napisaną przed chwilą notkę prasową:

DO NATYCHMIASTOWEJ PUBLIKACJI „Czasopismo «Modern Woman» zamierza zamieścić zdjęcie wykonane przez siedemnastoletnią mieszkankę hrabstwa Lawler, Barbarę Jean Sevrinson.

Fotografia wujka panny Sevrinson, Cala Buchanona, farmera z hrabstwa Lawler, została włączona do projektu kalendarza Homestead Heritage Foundation. Panna Sevrinson jest w klasie maturalnej.

«Modern Woman» pragnie pomóc w ten sposób Homestead Heritage Foundation w dystrybucji kalendarza.

Zyski z jego sprzedaży wspomogą hodowców i rolników w naszym stanie".

Nie była to poezja, ale powinno zadziałać. Skoro notka ukaże się w Lawler i okolicach, czyż Cal będzie mógł odmówić zgody? Ośmieszyłby Bunny przed sąsiadami i wyszedłby na głupka niweczącego marzenia siostrzenicy, a wobec gorzej sytuowanych rolników okazałby się nieużyтым sobkiem.

Nie czuła się jednak dobrze. Wciąż uważała, że nie powinna tak postępować.

Zacisnęła powieki. Oczami wyobraźni ujrzała panią Madigan uśmiechającą się niczym kot z Cheshire.

- Nie mogę tego zrobić - jęknęła głośno. W skroniach pulsowała jej krew. Ale w takim razie nie pojedzie do Nowego Jorku. Sama zatrzaśnie przed sobą drzwi na Bóg wie jak długo.

Co gorsza, pani Madigan zmieni opinię na jej temat, a to oznacza, że przestanie się dobrze zapowiadać i ktoś będzie musiał zająć jej miejsce.

- Cholera! - wykrzyknęła Tess.

Mniejsza z tym. Nie zrobi świństwa Calowi ani sobie. Wyciągnęła kartkę z maszyny i podarła na drobne kawałeczki. A więc mniej wyleją, pomyślała. I co z tego? To jeszcze nie koniec świata. Tylko jak spłaca długi? Szczęściem znała doskonale cały stan. Znajdzie sobie inną pracę. Odłoży pieniądze i wyjedzie do Nowego Jorku na własny rachunek.

Może zajmie jej to rok czy dwa, ale wreszcie uwolni się od długów i zdobędzie prawdziwą niezależność. Odsunęła się od biurka i sięgnęła po ogłoszeniową część „Omaha World-Herald”.

Lepiej coś robić, niż siedzieć i rozmyślać, a skoro ma stracić pracę, to od razu poszuka sobie nowej.

Wypisała kilka ciekawszych ogłoszeń:

„Prężnie rozwijająca się agencja reklamowa potrzebuje autora haseł”.
„Sieć sklepów w Benson poszukuje kierownika z rozeznaniem rynku”. „Dwie szkoły pomaturalne zatrudnią wykładowców biznesu. Jedna mieści się w Lawler”.

Usiadła przy maszynie. Lepiej szukać nowej pracy, niż sprzedać duszę starej. Jednak męczyła ją myśl, że tego lata nie wyjedzie do Nowego Jorku. Starła się odsunąć ją od siebie.

Do podań o pracę dołączyła dokumentację zawodową pozostałą po wysłaniu podobnych listów do nowojorskich agencji reklamowych.

Zaadresowała koperty i nakleiła znaczki.

Nie myśl o Nowym Jorku, upomniała się w duchu. Włożyła tenisówki, zbiegła do samochodu Bunny i pojechała na pocztę nadać listy. Zagrzechotały, wpadając do skrzynki.

Przez dwie godziny jeździła bez celu po mieście, byle nie siedzieć w domu.

Po powrocie, już na schodach, usłyszała, jak przed domem zatrzymuje się jakieś auto. Pewnie siostra właściciela. W soboty przyjeżdżała do brata zagrać w remika.

Weszła do mieszkania, zdjęła buty i w ciemnościach usiadła na starej kanapie. Miała ochotę porządnie się wypłakać.

Z ponurego nastroju wyrwało ją energiczne pukanie do drzwi. Kto to może być, u licha? Właściciel? Czego chce? Pewnie znów zbuntowała mu się lodówka i przyszedł pożyczyć lodu.

Z rozmachem otworzyła drzwi, spodziewając się, że ujrzy puciołowatą twarz gospodarza. Zamiast tego zobaczyła szeroką klatkę piersiową, osłoniętą jasną koszulą.

Zdumiona uniosła wzrok i napotkała ciemne oczy Cala Buchanona. W srebrnym świetle księżyca jego twarz wyglądała bardzo interesująco. Pachniał wodą po goleniu, letnią trawą i czymś na swój sposób ciepłym.

- Och! - wykrztusiła jedynie. Już zapomniała, jaki jest przystojny. - Mój samochód, pan go przyprowadził.

Spoglądał na nią w milczeniu. Ciepły wietrzyk rozwiewał mu włosy. Skinął tylko głową.

- Chce pan kluczyki od auta Bunny. Zaraz je oddam. Wraz ze zwrotem za benzynę i naprawę - mówiła zmieszana.

- Chciałbym wejść. Musimy porozmawiać.

- Oczywiście - odparła z bijącym sercem.

Cofnęła się, by go wpuścić. Miał ciemne spodnie i białą lub jasnoniebieską koszulę z krawatem, co trudno było rozróżnić w półmroku. Należał do tych nielicznych mężczyzn, którym oficjalny strój dodaje męskości.

Nie powinien tak się ubierać, pomyślała Tess. Biedne kobiety gotowe umrzeć ze szczęścia na jego widok.

- Mogę usiąść? - spytał dziwnym tonem.

- Oczywiście. - Stała z założonymi rękoma. Krępowało ją to, że jest w dżinsach, bosa i bez makijażu.

Mimo że Cal spoczął niedbale na starej zielonej kanapie, wyczuwało się w nim niespożyta energię. Rozejrzył się po pokoju. Zdobiły go jedynie ulubione plakaty Tess.

- Niełatwo znaleźć to miejsce - powiedział, spoglądając na nią. - Nie spodziewałem się, że mieszka pani w takich warunkach. Nieciekawe otoczenie.

Tess wzruszyła ramionami. Przysiadła na poręczy sfatygowanego fotela.

- Ale czynsz jest niski i blisko do przystanku autobusowego na wypadek awarii samochodu.

Uśmiechnął się na wzmiankę o aucie.

- To inna sprawa. Ten samochód hałasuje jak czołg. Powinna pani postarać się o lepszy.

Znów wzruszyła ramionami, choć zdawała sobie sprawę, że poruszanie się takim gruchotem mogło być niebezpieczne.

- Owszem.

Cal znów rozejrzył się po pokoju.

- Nie ubiera się pani jak ktoś mieszkający w tej okolicy. - Zerknął na jej dżinsy, bose stopy i dodał: - Na ogół.

- Muszę wyglądać jak ktoś reprezentujący odnoszącą sukcesy firmę - odparła, zadzierając głowę.

- Rozumiem - ironizował. - A więc wszystko wydaje pani na stroje. Nie lepiej zaoszczędzić nieco na żarówki?

Tess, nie wiedząc, co odpowiedzieć, wyciągnęła nogi i zaczęła wpatrywać się w bose stopy. Nagle zdała sobie sprawę, że Cal bacznie się jej przygląda.

- Może napiłby się pan kawy? - spytała coraz bardziej zmieszana. - Czym właściwie mogę służyć?

Zignorował jej ofertę i westchnął głęboko. Zrobił minę człowieka postępującego wbrew sobie.

- Zmieniłem zdanie - wykrztusił wreszcie. - Podpiszę tę cholerną zgodę.

Ze zdumienia otworzyła usta. Właśnie uratowałeś mi życie, pomyślała z ulgą.

- Naprawdę? - zapytała z radosnym niedowierzaniem.

- Owszem - potwierdził z ponurą miną.

Tess osunęła się z poręczy na fotel, nie spuszczać wzroku z Cala. Nogi dyndały jej w powietrzu, ale nie zwracała na to uwagi, choć taka pozycja ujmowała jej godności.

- Dlaczego? - Wciąż nie mogła pojąć.

Wstał i włożył ręce do kieszeni. Przeszedł się po pokoju.

- Czasem trzeba dokonać wyboru, zrozumieć, co jest najważniejsze, co jest dobre dla ludzi i własnej rodziny.

Zatrzymał się o dwa kroki od Tess, wbijając w nią wzrok.

- Bunny ma zaledwie siedemnaście lat, panno Avery. Nie potrafi się oprzeć pokusom, jakie pani przed nią roztacza. Jeśli stanę jej na drodze, Bóg wie, co mogłaby zrobić.

Tess czuła się osaczona. Półmrok w pokoju wydał się jej nagle złowieszczy. Chciała wstać, zapalić światło, pobiec do kuchni przygotować kawę, wszystko, byle nie spoglądał na nią z góry ten wysoki, niechętny mężczyzna.

Cal zareagował szybciej. Zastąpił jej drogę.

- Proszę nie uciekać. Musi pani tego wysłuchać.

- Chciałam tylko zapalić światło i zaparzyć kawę. Moglibyśmy usiąść przy stole i porozmawiać jak kulturalni...

Zerwała się, ale przytrzymał ją za ramię. Bliskość Cala oszołomiła Tess, budząc w niej dziwne tęsknoty.

- Nie chcę kawy ani światła - powiedział, pochylając się nad nią. - I nie czuję się wystarczająco kulturalny do rozmowy przy stole.

Wiedziała, że nie warto się spierać. Siedziała spokojnie, zadarłszy jedynie głowę.

- Jest pan teraz w mieście - zauważyła. - Może czas poniechać wiejskich manier?

Ścisnął ją tak, że z trudem chwytła oddech.

- Usiłuję jedynie wyjaśnić, że moja siostrzenica jest w delikatnej sytuacji. Zgodę podpisuję nie z pobłażliwości wobec Bunny, ale po to, żeby oszczędzić jej losu matki.

Tess spojrzała na niego zdumiona. Co spotkało matkę Bunny? Cał nie kwapił się z wyjaśnieniami, milczał. To zaniepokoiło ją jeszcze bardziej.

- Pańska siostrzenica jest bardzo utalentowaną dziewczyną, niezależnie od pańskiej opinii. Nikt jej do niczego nie nakłaniał. Może jej pan stanąć na drodze, jeśli pan zechce. Wszyscy wiemy o tym dobrze, łącznie z Bunny.

- Bunny jest również pełną nadziei młodą kobietą. Chciałbym móc czuwać nad nią, dopóki nie podrośnie. Teraz ma głowę pełną szalonych pomysłów, które jeszcze podsyca jej chłopak, niestety, nie będący już dzieckiem.

- Czy chęć zrobienia kariery jest czymś szalonym? - zaatakowała Tess. - Wiele kobiet tak dziś postępuje. Średniowiecze już dawno minęło.

- Słyszałem - rzekł przez zaciśnięte zęby, pochylając się nad nią jeszcze bardziej. - A świat jest pełen narkotyków, szaleńców i zła w ilościach wystarczających do połknięcia tysięcy takich niedoświadczonych dziewcząt. Bunny nie zdaje sobie z tego sprawy. Uważa się za bardzo sprytną. A jej chłopak...

- Chłopak? Chyba jest pan zazdrosny. Freud miałby coś na ten temat do powiedzenia.

Cał wyprostował się.

- No tak, chore insynuacje. Mogłem się tego spodziewać.

- A cóż złego w tym, że ma chłopaka?

Nawet w półmroku widać było, jak twarz Cala wykrzywia się z obrzydzeniem.

- Na litość boską, Fred Fortescue ma prawie trzydzieści lat i wykłada w szkole pomaturalnej. Co to za profesor, który bierze sobie dziewczynę o połowę młodszą od siebie? Zwykły palant.

Tess wzdrygnęła się. Trudno było jej uwierzyć, żeby ten Fortescue zdołał usidlić siedemnastoletnią dziewczynę, zwłaszcza tak nieobliczalną jak Bunny.

- Ten głupek studiował telewizję w szkole pomaturalnej i wyobraża sobie, że zostałby gwiazdą, gdyby zdołał wyrwać się z Nebraski. Jest słaby psychicznie, a byle pudel spacerujący po trawniku ma większe poczucie rzeczywistości. Cały czas buntuje Bunny, mówiąc jej, że ma wielki talent, ja zaś jestem zacofanym tyranem.

- Nie ma co się tak podniecać - wzruszyła ramionami. - Wyrośnie z tego.

Cal niecierpliwie pokręcił głową.

- Wiem. Ale odkąd wynikła sprawa z kalendarzem, a dzięki pani dowiedział się o czasopiśmie, podsyca *ego* małej bez opamiętania. Największą przyjemność sprawiłaby mi odmowa, panno Avery, ale w ten sposób pchnąłbym jedynie Bunny w objęcia tego głupca.

Tess skinęła głową. Czowała się zmęczona i zmieszana. Co gorsza, bliskość Cala, ciepło bijące od jego smukłego ciała, przeszkadzały jej logicznie myśleć.

- Proszę dać mi spokój - powiedziała drżącym głosem.

- Nie jestem pańską siostrzenicą.

Cal drugą ręką ujął ją pod brodę i uniósł głowę Tess, by patrzyła mu w oczy. We wzroku miał coś dziwnego, jakby troskę czy nawet czułość.

- Nie chcę zniszczyć jej życia. To musi pani zrozumieć. Nie chcę, żeby skończyła jak ktoś, kogo znałem.

Po raz pierwszy Tess pojęła głębię uczuć Cala. Naprawdę kochał siostrzenicę i toczył zażarty bój o uchronienie jej przed popełnieniem czegoś głupiego, mogącego ją zniszczyć. Coś przydarzyło się jego siostrze i to go prześladowało.

- Podpiszę te papiery, ale proszę zostawić ją w spokoju. Sytuacja jest zbyt krytyczna.

- Ja... - zaczęła Tess, usiłując odwrócić twarz, ale nie pozwolił jej na to.

- Nie mnie, ją proszę zostawić w spokoju. Jest za młoda, zbyt bezbronna.

Nie jest jeszcze przygotowana do takiego życia. Proszę mi przyrzec.

- Zrobię, co się da...

- Nie. Proszę obiecać, że zostawi ją pani w spokoju. - Pochylał się nad nią tak blisko, że niemal czuła ciepło jego warg.

- Obiecuję. Zrobię, co w mojej mocy. Cał zwolnił uścisk. - Dodam tylko, że jedynie wykonuję swoją pracę. A pan nie może czuwać nad nią w nieskończoność. To niezwykła dziewczyna. Wzywa ją wielki świat.

Chciała się wyrwać, ale jej nie puszczał. Trzymali się za ręce niczym zapaśnicy.

- Czy to się właśnie pani przydarzyło? - spytał cicho.

- Wielki świat wyciągnął panią z hrabstwa Frontier?

Tess zerknęła na swoje bose stopy. Mam dwadzieścia sześć lat, pomyślała, a wciąż chodzę boso. Może nie uciekłam aż tak daleko ze wsi?

- Tak. Może nie rozumie pan, jak słodko brzmi taki zew. Niektórzy ludzie, jak choćby mój ojciec, usiłowali mnie powstrzymać. Nadaremnie.

Cał wciąż ścisnął jej dłonie. Tess wydało się nagle, że czuje przepływający po nich prąd.

- A nie sądzi pani, że panią kochał?

Spojrzała mu prosto w oczy. W pamięci odżyły wszystkie kłótnie z ojcem.

- Nie.

- Typowe. A więc opuściła go pani. Dla tego wszystkiego.

- Jedną ręką machnął pogardliwie wkoło, podkreślając panujące w pokoju ubóstwo.

- Nie tylko - broniła się. - Niebawem wyruszam do Nowego Jorku.

- To co pani jeszcze tu robi?

- Na razie mam długi do spłacenia, brak mi kontaktów w Nowym Jorku. Niełatwo jest rzucić się na głęboką wodę.

- Doprawdy? - ironizował Cal. - Bunny właśnie chce tak postąpić. Fred był na to zbyt wielkim tchórzem. Czy pani też się boi tak bardzo, że utknęła w Omaha?

- Ja... - zająknęła się Tess.

- A może pani wcale tego nie chce? Może się pani przecenia?

- Ja... - zaczęła znów Tess, ale zmieszała się, widząc, że Cal przybliżyła twarz do jej twarzy. - Ja...

- Kochanie - szepnął, ujmując jej głowę w obie dłonie. - Wyglądasz wspaniale w tych eleganckich ciuszkach, tylko że urodziłaś się do noszenia dzinsów. Leżą na tobie jak ulał.

I wtedy ją pocałował.



ROZDZIAŁ ÓSMY

Tess była zbyt zaskoczona, by zareagować w jakikolwiek sposób. Ciepło ust Cal wywołało w niej zarazem pożądanie i lęk. Zachwiało to jej starannie uporządkowanym światem.

Przytulił ją do swego muskularnego ciała. Tess niemal bezwiednie wspięła się na palce. Raz jeszcze utwierdziła się w przekonaniu, że ich usta pasują do siebie w doskonały wprost sposób.

Na farmie po raz pierwszy pocałował ją na złość, łapczywie, bez żadnego uczucia, a po raz drugi uwodzicielsko. Tym razem było zupełnie inaczej. Wyglądało na to, że nie mógł się powstrzymać od tego słodko-gorzkiego pocałunku.

Tess pojęła to, ponieważ sama również nie potrafiła się przeciwstawić temu, co wydawało się nieuniknione.

Uniosła ręce, by objąć go, za szyję, lecz Cal powstrzymał ją. Swoją bliskością, ciepłem swego ciała doprowadzał ją niemal do szaleństwa. Czowała, że nie powinna pozwolić mu, a raczej sobie, na nic więcej.

Zrozumiał to chyba, bo przerwał i powoli się odsunął. Wciąż tulił ją mocno.

- Czegoś nie pojmuję - wyszeptał, studiując wzrokiem jej usta, cień niepokoju w oczach. - Jakbyś się bała. Czego? To ja jestem w niebezpieczeństwie.

Tess nagle poczuła się przy nim jak mała dziewczynka. Cal bez trudu odgadł, że pragnie dalszych pocałunków i że jednocześnie bardzo się ich obawia.

Umiał postępować z kobietami potrafiącymi oddzielić uczucia od seksu i początkowo uważał Tess za jedną z nich. Teraz jednak przekonał się o swojej pomyłce. Wyraz jej twarzy, z którego mógł wszystko wyczytać, wprowadził go w zakłopotanie.

Bez słowa pokręciła głową. Cal poprawił jej włosy.

- Wolalabym, żeby do tego nie doszło - powiedziała drżącym głosem.

Cal nie chciał tego również, a jednak wciąż gładził ją po ramionach.

- Czemu? - spytał zduszonym głosem. - Masz jakieś inne plany? -

Wydawało mu się, że ją poznał, lecz teraz nie był już pewien niczego. - Kim ty właściwie jesteś? Bosą wiejską dziewczyną, bojącą się pocałunku, czy kobietą sukcesu, usiłującą za wszelką cenę podbić świat? Przysięgam, że nie wiem.

Tess, jak zahipnotyzowana, wpatrywała się w jego przystojną twarz.

Chciała od niego uciec i jednocześnie zostać z nim na zawsze.

- Jedną i drugą. Drgnął mu policzek.

- A która z nich boi się mnie?

- Obie - odparła. Nadmiar mieszanych uczuć powodował, że sama nie mogła się w tym wszystkim połapać.

- Czemu? - zapytał, nadal głaszcząc jej ramiona.

- Bo przypominasz mi to wszystko, przed czym uciekłam. - Ona też zrezygnowała z oficjalnej formy.

Po chwili milczenia Cal skinął głową.

- Patrzysz na mnie oczami Bunny. Widzisz apodyktycznego, tępego, upartego i niebezpiecznego człowieka. To dlatego stale jej bronisz.

Tess wzruszyła ramionami. Wiedziała, że częściowo miał rację. Cal przerażał ją, bo przypominał jej ojca, równie silnego i upartego, gotowego uczynić wszystko, by tylko pokrzyżować jej plany.

- Podstawowa różnica polega na tym, że Bunny jest jeszcze dzieckiem, a ty dojrzałą kobietą. Nie rozumiesz, że staram się ją chronić?

- Kota można zagłaskać na śmierć - odparła, wzruszając ramionami. - Nie można żyć za kogoś.

Przycisnął ją jeszcze mocniej. Na policzku czuła bijące od niego, ciepło. Palilo ją.

- Tylko że czasem ludzie nie wiedzą, co jest dla nich dobre.

- Dokładnie to samo powtarzał mój ojciec - zdenerwowała się Tess. - Mawiał, że cierpię na manię wielkości, a kobieta powinna znać swoje miejsce. Uważał, że kształcenie kobiet jest tylko stratą czasu.

- Tess - rzekł oschle Cal. - Nie jestem taki i dobrze o tym wiesz. Czasami myślę, że w ogóle mnie nie rozumiesz. Ja zresztą dotąd również nie rozumiałem ciebie. Raz miałem nawet zamiar prosić, żebyśmy zaczęli wszystko od początku. Może wtedy... - Pokręcił głową.

Zlekceważyła jego słowa, bo tak było wygodniej. Pożądała go równie mocno, jak chciała przed nim uciec. Ta walka o zachowanie niezależności zaczynała ją nużyć.

- Cóż - powiedziała przez ściśnięte gardło - żyję po swojemu, na własny rachunek. Wcześniej czy później czeka to również Bunny.

- I to nazywasz życiem? - Gniewnym gestem pokazał na jej malutkie mieszkanko.

- Owszem - nie ustępowała. - Muszę spłacić studia, rachunki za leczenie. Mam również pewne plany. Istnieją na świecie miejsca, które pragnę zobaczyć. Czekają na mnie rzeczy, które zamierzam robić. Co w tym złego?

- Nic. - Puścił ją i odwrócił się z niesmakiem. - Absolutnie nic. Możesz mieszkać w Nowym Jorku albo na drzewie. To nie moja sprawa. Muszę już iść. Przykro mi, że jak zwykle, sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Jak zwykle, panie Buchanon, wyzwoliliśmy nasze najgorsze cechy. Ale przynajmniej sprawa pisma została pomyślnie załatwiona.

Popatrzył na nią wymownie i nerwowo przeciągnął dłonią po włosach.

- Mówiłem serio w sprawie Bunny. Proszę o tym pamiętać. No i winien jestem pani przeprosiny. - Wrócił do oficjalnej formy. - Za pierwszym razem sądziłem, że posługuje się pani seksem dla manipulowania mężczyznami, ale widzę, że nie ma pani o tym pojęcia. Boi się pani uczuć. Za chłodną fasadą kryje się delikatna kobieta. Jednak żal do przeszłości szybko ją zniszczy. Szkoda. Lepiej byłoby pozwolić jej żyć.

Spojrzał na Tess lekko rozbawionym wzrokiem i wyszedł. Słyszała, jak zbiegał po schodach, a potem uruchamiał auto.

Nie rozumiała, czemu wciąż wpatruje się w drzwi, za którymi zniknął Cal. Ociągając się, uniosła dłoń do wciąż jeszcze obrzmiałych od pocałunku warg. Potem, ku swemu zdumieniu, wybuchnęła płaczem. Czemu? Przecież wreszcie się od niego uwolniła. Pojedzie do Nowego Jorku.

- Nie wiem, co się z tobą dzieje - narzekała Delia w czasie przerwy na kawę. - Złapałaś pana Boga za nogi. Załatwiłaś sprawę pomiędzy Homestead Heritage a pismem, nie kiwnąwszy palcem. Pani Madigan uważa to za cud. Poprzez ciebie, gdy tylko zwolni się jakieś stanowisko w Nowym Jorku. To o co właściwie ci chodzi?

- Po prostu źle spałam.

- Aha, jak ci ludzie w „Makbecie”. Cierpisz na wyrzuty sumienia?

- Ależ skąd - odparła Tess.

W rzeczywistości gnębiło ją to wszystko, co zrobiła i powiedziała oraz to, czego nie powiedziała. Cal zmienił zdanie tylko po to, by uniknąć jeszcze większego zamieszania, jakie mogła wprowadzić w jego życie. Pozwoliła mu się pocałować i, co gorsza, za bardzo przed nim się odsłoniła. Całą noc spędziła na rozmyślaniach o tym wszystkim.

- Nie wiem, co między wami zaszło... - zaczęła Delia, skubiąc ciastko.

- Nic nie zaszło. - Tess spuściła wzrok.

- Gdyby taki przystojniak zapukał do mnie w sobotę wieczorem, nie siedziałabym teraz z ponurą miną.

- Ależ, Delio - zaperzyła się Tess. - Co za różnica, jak ktoś wygląda? Czasem wydaje mi się, że ludzie nie widzą w nim człowieka, tylko przystojniaka. Nic dziwnego, że projekt kalendarza nie przypadł mu do gustu.

- Hm - Delia uważnie przyjrzała się przyjaciółce. - Najpierw mówiłaś, że jest tylko ciekawym obiektem, potem, że bestią.

- Nie jest wcale taki zły. - Wzruszyła ramionami Tess.

Z trudem przyszło jej przyznać, że była wobec niego niesprawiedliwa. Wcale nie był taki, jak jej ojciec. Nie zamierzał też rujnować kariery Bunny. Po prostu chciał, by dziewczyna najpierw nieco zmądrzała. A jednak, pomyślała posepnie, ocenił mnie niewłaściwie.

- Już wiem, na czym polega twój problem - oznajmiła Delia, wyjadając okruszki. - Mianowicie na tym...

- ...że okazja puka do drzwi, a wy obie straciłyście słuch - powiedziała pani Madigan, zjawiając się w drzwiach.

- Chyba już się opamiętałam. - Delia zerwała się, by odstawić filiżankę.

Tess uniosła wzrok. Pani Madigan wpatrywała się w nią intensywnie. To chyba ma coś wspólnego ze mną i, nie daj Boże, z Calem, przeraziła się Tess. A jednak chyba tak, odgadła. Nigdy już się z tego nie wypłaczę.

Szefowa podeszła bliżej i usiadła na rogu biurka Delii.

- Sprawa dotyczy ciebie i Cala Buchanona. Chcę, żebyś zabrała go do Nowego Jorku. A skoro już tam będziesz, możesz wpaść na rozmowę do Agencji Chadwick.

- Co? - wykrztusiła Tess oszołomiona zawartymi w paru zdaniach rewelacjami.

- Dzwoniła Aggy Chadwick. Ta posada, o której ci kiedyś wspominałam, jest wolna. Poleciłam cię i masz się do niej zgłosić.

Za jej plecami Delia potrząsnęła złożonymi rękami w geście zwycięstwa.

Tess zamurowało. Teraz, gdy już to się stało, czuła się odrętwiała, wręcz pusta w środku. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- To cudownie.

- Owszem - przyznała pani Madigan. - I to dzięki mnie. W zamian proszę o przysługę. Chcę, żeby ten Buchanon wystąpił w Morty Jessen Show. To bardzo ważne dla kalendarza i dla Aggy Chadwick. Jej kuzyn otwiera firmę graficzną. Chciałby na początek wydrukować plakat z Buchanonem i wszyscy moglibyśmy na tym sporo zarobić. Taki rodzaj współpracy między nim a

Homestead Heritage Foundation. Aggy bardzo zależy na błyskotliwym sukcesie kuzyna.

- Chwileczkę - powiedziała Tess, której nagle zaschło w gardle. Spojrzała na Delię, która nie uśmiechała się już, tylko siedziała przy biurku z zatroskaną miną. - Zaraz, czy chodzi o ten najsłynniejszy talk show?

- Dokładnie ten - potwierdziła pani Madigan. - Jessen ma miliony widzów. I chcą Buchanona. Wystarczy, że się pojawi i będzie się dobrze prezentował przed kamerami. To zwiększy sprzedaż kalendarza o dalsze dziesiątki tysięcy.

- Ale skąd się o nim dowiedzieli u Morty'ego Jessena? - zatroskała się Tess.

- Jeden z wydawców „Modern Woman” pokazał im zdjęcie Buchanona. Współpracują ze sobą. Potrzebują takiego rarytasu. Któż byłby lepszy?

Rzeczywiście, pomyślała Tess. Zwłaszcza że Cal gotów był udusić własnoręcznie każdego, kto nazwałby go rarytasem.

- Pani Madigan - powiedziała wreszcie. - To mi się nie podoba. On podpisał zgodę na publikację pod warunkiem, że raz na zawsze odczepię się od jego rodziny.

- Ale to w dobrej sprawie. Poza tym, nie chciałabym, żebyś rozczarowała Aggy Chadwick, nie potrafiąc dostarczyć jej zamówionego towaru.

- Buchanon nie jest żadnym towarem, tylko istotą ludzką. - Tess zerwała się z fotela. - A znając jego upór, na pewno odmówi.

- Pomimo to podpisał zgodę - parsknęła pani Madigan. - Przyszła w dzisiejszej poczcie. Teraz nie może już się wycofać, bo ani się obejrzy, jak podam go do sądu - dodała, wpatrując się w Tess wzrokiem kobry.

- Chyba pani nie rozumie - zaczęła ostrożnie Tess. - Nie zmusimy Buchanona do występu w talk show. Pomysł z plakatem też nie przypadnie mu do gustu.

- Tess, to ty nic nie rozumiesz - odparła chłodno pani Madigan. - Do twoich zadań należy nakłonienie go do współpracy. Chcę, żeby wystąpił w tym programie ze względu na kalendarz, a Aggy Chadwick potrzebuje plakatu dla kuzyna. Ty podobno wybierasz się na podbój Nowego Jorku. Nie zamierzasz nas chyba zawieść?

- Nie, proszę pani - wyjąkała Tess. - Ale...

- To dobrze - zgryźliwym tonem odezwała się pani Madigan. - Bo już wyjaśniłam wszystko siostrzenicy tego Buchanona.

Tess z przerażeniem otworzyła szeroko oczy. Poczwała, jak coś wali się jej na głowę.

- O, nie. Nie powinna pani rozmawiać z siostrzenicą. On tego nie cierpi.

- A kogóż to obchodzi - uśmiechnęła się pani Madigan.

- Nie uda się zrobić jajecznicy, nie rozbijając jajka. Proponuję, żebyś porozmawiała z nim osobiście.

- Ale...

- Żadne ale. To szczęśliwy zbieg okoliczności. Musisz go wykorzystać dla mnie i dla siebie.

Pani Madigan odwróciła się i wyszła. Delia smętnie pokiwała głową.

Samochód Tess pomimo naprawy wciąż wydawał podczas jazdy niepokojące odgłosy. W związku z tym Delia pożyczyła przyjaciółce nowego forda taurusa.

- Żeby tylko Buchanon nie podziurawił go kulami - zażartowała.

Był cudowny letni dzień, jednak udręczona moralnie Tess wcale tego nie zauważyła.

Pani Madigan postawiła ją w sytuacji bez wyjścia. Informując o wszystkim Bunny, rozpętała kolejny konflikt w rodzinie. Tess naiwnie wyjawiała jej kiedyś, że Cal podpisał zgodę, pragnąc uchronić siostrzenicę przed związaniem się z Fredem Fortescue. Szefowa mogła dzięki temu dopuścić się

czegoś ,w rodzaju szantażu moralnego. Cal miał prawo zareagować na to wrogością i brakiem chęci współpracy.

Jadąc, powtarzała sobie, że wciąż może jeszcze zawrócić. Wysłała przecież podania o nową pracę. Powstrzymywała ją jedynie perspektywa rychłego wyruszenia do Nowego Jorku. Ojciec powiedział jej kiedyś w złości, że nigdy nie zajdzie tak daleko, a bracia pokpiwali sobie z niej. Co gorsza, Cal również odnosił się do tego sceptycznie.

Mocniej ujęła kierownicę. Gwałtownie zapragnęła udowodnić im, że się mylą. Nie zaprzepaści takiej szansy.

Tylko czy chce tego dość mocno, żeby wykorzystać Bunny do manipulowania Calem?

Chłodna logika podpowiadała jej, że pani Madigan ma rację. To dla dobra sprawy. Kalendarz miał powstać ze szlachetnych pobudek i dla korzyści wielu ludzi. Czy Cal powinien to kwestionować? Sam przyznał, że Bunny zmierza ku katastrofie i musi jej pomóc. W końcu to jego upór doprowadził ją do tego.

Tess pokręciła głową, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Nie czuła zadowolenia z tego, co robi. Musiała jednak spotkać się z Calem. Tylko co mu powie?

Kiedy dojechała na miejsce, dom wyglądał na opuszczony. Świeciło się jedynie w kuchni. Ani śladu Bunny i psa.

Wysiadła z samochodu i weszła na ganek. Zapukała do drzwi. Po dłuższej chwili usłyszała kroki i przeraziła się, że to może być Cal.

Odetchnęła z ulgą, kiedy otworzyła jej Edna. Z wyrazu jej twarzy zrozumiała, że nie jest mile widzianym gościem. Starsza pani pokręciła głową.

- Cal zabronił pani tu przyjeżdżać, panno Avery - westchnęła.

- Edna - odparła z niepokojem Tess. - Wie pani, że nie ponoszę odpowiedzialności za telefon do Bunny. Nie miałam o tym pojęcia. Jestem tu, bo na tym polega moja praca.

- Skoro nie zrobiła pani nic złego, nie trzeba się tłumaczyć.

- Gdzie jest Bunny? - spytała Tess, czerwieniąc się.

- W swoim pokoju. Płacze. Ze zdenerwowania rozboleł ją brzuch i chyba wie pani, czemu. Wbiła sobie do głowy wyjazd do Nowego Jorku. Ta okropna kobieta, pani...

- Madigan.

- Słusznie, Madigan, powiedziała, że chcą zrobić plakat z jej zdjęcia. Bunny dostała histerii, że Cal się nie zgadza. Wciąż powtarza, że powinien rozumieć ją jak Fred. Biedny Cal. Niepotrzebnie go wtedy namawiałam.

- Jest mi bardzo, ale to bardzo przykro. Jednak muszę porozmawiać z Cal'em. Gdzie jest?

- W stajni. Przy sianie. Też chce z panią porozmawiać.

Tess udała się w stronę stajni. Tym razem była przygotowana. Wyjeżdżając z domu, włożyła džinsy, zieloną bluzę i stare, znoszone kowbojki.

Weszła tylnymi drzwiami i ze spuszczoną głową ruszyła w kierunku bel siana. Początkowo w półmroku niewiele widziała, potem dostrzegła przystawioną do bel drabinę.

- Panie Buchanon! - zawołała, wspinając się po drabinie do góry. - Jest pan tam?

Cisza. W dole, w ciemnościach cicho zarżał koń. Na poddaszu Tess strzepnęła siano z ubrania. Zewnętrzne drzwi na górze były otwarte na oścież, odsłaniając widok na pola. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Cal stał oparty o bele sianą i spoglądał zadumany w ciemniejące niebo.

- Cal - powiedziała niepewnym głosem.

- Proszę wejść i usiąść - polecił, nie patrząc na nią. Wciąż obserwował niebo. Gdzieś pod dachem zatrzepotał gołąb.

Brodząc po kostki w sianie, podeszła bliżej i usiadła na beli. Od lat nie była na stajennym strychu. Zapomniała już, jak przytulne może być to miejsce.

Wreszcie spojrzał na nią.

- No, no - mruknął. - Znow mnie przechytrzyła. Myślałem, że będzie się pani gramoliła na górę w wieczorowej sukni.

Tess złożyła ręce na kolanach.

- Nie mam nic wspólnego z telefonem do Bunny. Nie chciałam tu przyjeżdżać, ale stało się. Mnie to się również nie podoba.

- To już bez znaczenia - kwaśno zauważył Cal. - Musiała się pani komuś wygadać, że można wykorzystać Bunny przeciwko mnie. Mam już tego dość.

- Ja również.

- Jednak niewystarczająco, żeby temu zapobiec. Racja. Nowy Jork. Wyobrażam sobie, jak rozpaczliwie pragnie pani się tam dostać.

- Gotowa byłam zrezygnować...

- Chce mi pani zaimponować gotowością poświęcenia? - syknął. - Ależ pojedzie pani. Jeśli nie wyrwie się pani z tego kołowrotka, pochłonie panią bez reszty, Widziałem to już nieraz - zaklął pod nosem.

Podniosła źdźbło trawy i zaczęła go machinalnie zwijać.

- Proszę posłuchać, wiem, że nie zechce pan wystąpić w telewizji i nie zgodzi się na plakat. A to oznacza, że nie pojedę do Nowego Jorku. Pogodziłam się z tym. Przyjechałam tylko na wszelki wypadek. Jest mi naprawdę bardzo przykro. Postaram się wytłumaczyć wszystko Bunny. Może posłucha kogoś spoza rodziny.

Cal spojrzał na nią badawczo.

- A więc po to pani przyjechała? Ciekawe. Tego akurat się nie spodziewałem. Tyle że, niestety, niepotrzebnie. Tym razem nie będę się opierał.

- Co? Jak? - Tess zerwała się na równe nogi.

Cal znow gapił się w niebo. Wyczuwała w nim jednak jakieś napięcie.

- To znaczy, że pojedę do Nowego Jorku, wystąpię w talk show i zgodzę się na plakat. Jeśli w ten sposób pomogę Bunny...

- Ale wydawało mi się, że woli pan jej nie zachęcać.

- To jest wojna, do cholery - warknął. - A na wojnie człowiek robi to, co musi. Skoro Bunny postanowiła zrobić karierę, dobrze, pomogę jej w osiągnięciu celu. Ale nie pozwolę, żeby zniszczyła sobie życie, wiążąc się z tym palantem.

- To znaczy, że zgadza się pan na wszystko?

- Owszem, ale na moich warunkach. Po pierwsze, w telewizji nie będę odpowiadał na żadne głupie pytania dla „rarytasów”, tylko opowiem o sytuacji i potrzebach rolników. A co do plakatu - skrzywił się z niesmakiem - ma być z jednego ze zdjęć Bunny. W ten sposób dziewczyna wyrobi sobie markę. Po powrocie znajdę dobrego fotografa, który ją podszkoli. Jeśli nie chce pójść do szkoły pomaturalnej, niech się chociaż nauczy fachu.

- Ja... ja mogłabym pomóc - wyjąkała Tess. - Znajdę odpowiedniego fotografa i...

Popatrzył na nią ironicznie.

- Pomogła pani aż za bardzo, panno Avery. Żadna kobieta nie narobiła mi tyle zamieszania od piętnastu lat. A najgorsze jest to, że stoi pani z tak niewinną miną, iż prawie gotów jestem się na to nabrać. Słyszałem, jeśli Bunny czegoś nie pokręciła, że wybiera się pani z nami do Nowego Jorku.

- Tak.

- Gratulacje - powiedział, całując ją w rękę. - Tylko po co? Jako strażnik pilnujący dzikusów z Nebraski? Sądzi pani, że nie umiem się zachować?

- Nie wiem. Może.

Uśmiechnął się, lecz Tess dostrzegła w tym zagrożenie. Pochwyił jej drugą dłoń i uniósł do ust.

- A zatem to czysta strata czasu, bo i tak nie zamierzam się dobrze zachowywać.

Pocałował ją w obie ręce, potem puścił je w znaczącym geście. Odwrócił się i zszedł po drabinie, pozostawiając ją samą. Zmierzch zmienił się w czerń nocy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nowy Jork wprowadził Tess w oszołomienie, Bunny w zachwyt, a Cala we wściekłość. Edna, kochająca spokój i ciszę, została w domu.

- Jedyna rozsądna osoba w całej rodzinie - skomentował jej decyzję Cal podczas lunchu w małej, modnej restauracji w Village.

Lokal był niewielki, zatłoczony i piekielnie drogi. Mimo że jedzenie smakowało wyśmienicie, a akwaforty na ścianach wyglądały na oryginalne, to kelner zachowywał się niezwykle wyniośle.

- Kartoflanka jest zimna - poskarżyła się Bunny.

- *Vichyssoise* - mruknął Cal - powinno być chłodne.

Miał na sobie szary, letni garnitur. Tess uznała go za najprzystojniejszego mężczyznę w Nowym Jorku. Nawet zagonieni mieszkańcy Manhattanu przystawali na jego widok.

- Posłuchaj - rzekł do Bunny, grzebiącej łyżką w talerzu. - Chciałaś doświadczyć Nowego Jorku, to jedz. Czy wolisz może hamburgera?

- Chyba tak - odparła Bunny, zmuszając się do jedzenia.

- Nie zaszkodzi poznać nowe smaki - delikatnie wtrąciła Tess.

Zdumiewała ją łatwość, z jaką radził sobie Cal.

Bunny odsunęła od siebie talerz i zadowolona się kawałkiem chleba.

- Nie jestem materialistką - wypaliła. - Najważniejsza dla mnie jest sztuka. Fred mówi to samo.

- Fred - mruknął z niesmakiem Cal, ale rozmarzona dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

Po wyjściu z restauracji Bunny nie rozstawała się z aparatem fotograficznym, szukając ciekawych obiektów na ulicy.

- Łatwiej wyrwać dziewczynę ze wsi niż wioskę z dziewczyny - zauważył Cal, pochylając się w stronę Tess. - Nie przypuszczałem, że jest tak naiwna.

Jednak, pomijając zagadnienia kulinarne, Bunny zachwycała się wszystkim.

Odszukali maleńkie studio kuzyna pani Chadwick wciśnięte w bocznej uliczce pomiędzy galerię sztuki a sklep z plakatami. William Chadwick Runes był żyłastym młodym człowiekiem, nosił wyrzuconą na dżinsy jedwabną koszulę, miał diamentowy kolczyk w jednym uchu i okulary w drucianej oprawce. Brązowe loki okalały sporą łysinę.

We trójkę tłoczyli się w jego mikroskopijnym biurze jak sardynki w puszcze. Tess przyglądała się plakatowi, Bunny gapiała się na Willa jak na Marsjanina, a Will wpatrywał się w Cala, który nie wydawał się tym zachwycony.

- Ma pan twarz amanta filmowego - powiedział Will, pokazując palcem na Cala. - Czy już zatrudnił pan agenta? Zarobiłby pan kupę szmalu jako model lub aktor. Umie pan grać?

- Prędzej gryzłbym ziemię, niż został aktorem lub, uchowaj Boże, modelem - odparł, krzywiąc się Cal.

- Trudno. Wie pan chyba, że jestem zainteresowany zrobieniem plakatu z panem. Zyskiem podzielę się równo z Homestead Heritage. To odpowiada fundacji, prawda, panno Avery?

Skinęła głową, lecz zanim zdążyła się odezwać, wtrącił się Cal.

- To nie są najlepsze warunki, zwłaszcza że fundacja wyrządza panu przysługę. Powinien pan coś im dorzucić albo rezygnuję.

W pierwszej chwili Runes zdębiał. Przyjrzał się baczniej Calowi i zrozumiał, że ma do czynienia z twardą sztuką. Tak czy owak, plakat przyniesie mu sporo pieniędzy.

- Widzę, że projekt niezbyt panu odpowiada, panie Buchanon. Ale żeby wilk był syty i owca cała, niech będzie moja strata. Pięćdziesiąt siedem do czterdziestu trzech.

Tess otworzyła usta, by powiedzieć, że to cudownie, ale i tym razem Cal nie dał jej szansy.

- Sześćdziesiąt i czterdzieści.

Bunny wyglądała, jakby miała zamiar go udusić, Tess była po prostu przerażona. Will Runes okazał się jednak hojniejszy, niż przypuszczała. Tymczasem Cal rozsiadł się na krześle z chmurną miną.

Will zerwał się zza biurka i przybrał pełną godności pozę.

- Panie Buchanon, prowadzę mój interes, jak większość ludzi, dla zysku. Wierzę w dobroczynność, ale dom stawiam na pierwszym miejscu.

- Ja również - odparł Cal. - Moim domem jest Nebraska. I dlatego żądam sześćdziesięciu procent dla mieszkańców mego domu.

- Panie Buchanon. - Will zdjął okulary. - Widocznie pan nie rozumie. Wyrządzam dużą przysługę fundacji. To dla nich wielka szansa.

Cal uniósł brwi i zmierzył Willa chłodnym spojrzeniem.

- Rozumiem, że to i dla pana wielka szansa. Dopiero pan zaczyna - rozejrzał się pogardliwie po biurze - i trafia się panu szansa ogólnokrajowej kampanii reklamowej. Bez kiwnięcia palcem zyskuje pan rozgłos. To jest chyba coś warte.

- Nie - potrząsnął głową Will. - Widzę, że w Nebrasce nie pojmuję się pewnych rzeczy...

- Chyba raczej w Nowym Jorku - przerwał Cal. - Pan tylko wydrukuje i sprzeda plakaty. Nawet nie musi pan robić zdjęć. Moja siostrzenica już je zrobiła. Za nic pan nie płaci. Chce pan tylko wykorzystać moje zdjęcie. Proszę bardzo, za sześćdziesiąt procent dla fundacji. I chcę jeszcze, żeby na plakacie widniało nazwisko siostrzenicy.

- Niemożliwe - pisnął Will. - Na plakacie umieszczam tylko nazwę mojej firmy i fundacji. Ten dzieciak nawet nie jest zawodowcem. Dlaczego miałbym umieszczać jej nazwisko na pięćdziesięciu tysiącach plakatów?

Czemu on to robi, myślała Tess. Zniszczy wszystko. Czy musi być taki uparty? Cal przybrał obojętną minę.

- Zapominasz o jednym, Runes. Ja wcale nie chcę być na twoim cholernym plakacie. Jeżeli ci na tym zależy, musisz przyjąć moje warunki. To wszystko.

Tess z wrażenia wstrzymała oddech. Czowała, jak za jej plecami Bunny kipi ze złości. Will nabrał powietrza, włożył gwałtownym ruchem okulary. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że nie cierpi siedzącego naprzeciwko mężczyzny, który dyktuje mu warunki.

Otworzył usta. Tess zeszywniała, bojąc się usłyszeć odmowę.

- Dobra - rzekł, wzruszając ramionami. - Co mi za różnica. Odpiszę to sobie od podatku. Robisz niezłe zdjęcia, mała.

Bunny w cudowny sposób zmieniła się w samą słodycz.

- Czy chciałby pan zobaczyć więcej moich zdjęć?

- Może nie teraz - odparł Runes, spoglądając nienawistnie na Cal.

Najwyraźniej nie chciał prowadzić przy nim żadnych negocjacji.

Kiedy wreszcie wyszli na zewnątrz, Bunny spojrzała na wujka z wyrzutem.

- Już myślałam, że wszystko zepsujesz.

Tess zrobiło się słabo, jak osobie, która uniknęła wypadku. Jednocześnie czuła dreszczyk emocji. Cal zaryzykował i wygrał. Załatwił start Bunny i wytargował dziesięć procent dla fundacji.

- Powinienem wyrwać siedemdziesiąt procent - złościł się - ale ten facet to wyjątkowy sukinsyn i nie chciałem go bardziej przyciskać.

- Nie powinieneś brać się do tego - zaatakowała go Bunny. - Nie znasz się na tym.

- Ale załatwiłem ci nazwisko, prawda? - spytał chłodno Cal.

Bunny się myli, pomyślała Tess. Ten człowiek dokładnie wie, co robi i ma głowę do interesów. Strzeżcie się nowojorczy.

Bunny aż się skuliła, a Tess zacisnęła zęby.

- Nie - powiedział Cal. - Nie ma mowy. Kierowniczka produkcji Morty Jessen Show, piękna blondynka koło trzydziestki, omal nie oszalała.

- Proszę posłuchać - odezwała się z przerażeniem w głosie. - Tego właśnie chce Morty. To zostało zaplanowane i pozostali uczestnicy wyrazili zgodę.

- Nie. - Cal twardo pokręcił głową. - Nie zdejmę koszuli w ogólnokrajowym programie.

- Ale dowcipy dla Morty'ego Jessena już zostały napisane. - Dziewczyna błagalnie pochyliła się nad biurkiem. - Nagrywamy dziś wieczorem. Wszystko jest przygotowane.

Cal rozparł się wygodniej na krześle i skrzyżował ręce na piersi. Tess wiedziała już, że ten gest zapowiada kłopoty.

- Mamy dwóch modeli: gwiazdę filmową i zwycięzcę Mister Uniwersum. Morty chce urządzić taki mały konkurs. Nie będzie pan sam.

Cal pokręcił głową. Bunny popatrzyła na niego z wyrzutem. Tess siedząca po jego drugiej stronie chciała coś powiedzieć. Nie zdążyła.

- Może tamci nie mają nic przeciwko temu, ale ja owszem. Mogę rozmawiać o kalendarzu, problemach rolników, ale nie wezmę udziału w żadnym konkursie piękności.

Kierowniczka produkcji omal się nie rozplakała. Spojrzała na Tess i Bunny, szukając u nich ratunku.

- Morty mnie zabije. Czy ktoś potrafi przekonać tego człowieka?

- Mnie się to nie udaje od ponad siedemnastu lat - zauważyła kwaśno Bunny.

- Sądzę - zaczęła ostrożnie Tess - że pan Buchanon ma rację. Tamci mężczyźni, w przeciwieństwie do niego, zarabiają na pokazywaniu swego ciała.

- Tylko że zaplanowaliśmy pokaz „rarytasów”...

- To zmieńcie plany - przerwał Cal. - I proszę nie nazywać mnie „rarytasem”. Jeśli chcecie pokazać mój tors, weźcie zdjęcie z kalendarza.

Kierowniczka produkcji poprawiła się na krześle.

- Nie ma pan nic przeciwko temu?

- Nie, pod warunkiem, że powiecie, kto wykonał zdjęcie. Ta oto moja siostrzenica.

- Mam całe mnóstwo zdjęć - ożywiła się nagle Bunny. - Mogę je pokazać i opowiedzieć...

- Dziękuję, nie - odparła ponuro blondynka. - Morty pewnie wyrzuciłby pana z programu, gdyby już nie użył pańskiego zdjęcia na wabia. Połowa kobiet w Ameryce zasiądzie przed telewizorami, a szef nie lubi sprawiać zawodu publiczności.

Cal wysłuchał obojętnie tej informacji. Popatrzył jedynie chłodnym wzrokiem na Tess, jakby chciał spytać: do jakiego cyrku przyprowadziłaś mnie, szalona kobieto?

Nawet Bunny musiała przyznać, że pomimo denerwujących metod, Cal wiedział, co robi. W ciągu jednego dnia zdołał jej załatwić dwukrotną prezentację na krajową skalę. W taksówce podziękowała mu serdecznym buziakiem.

Wujek otoczył siostrzenicę ramieniem, a Tess, obserwując ich, poczuła w sercu ukłucie zazdrości. Zawstydzona odwróciła wzrok. Cal pogardzał wszystkim, w co go wplątała i zgodził się na współpracę jedynie z miłości do Bunny. Tess starała się nie myśleć o uczuciach. Łączył ich wyłącznie interes.

Tymczasem nadchodził czas przygotowania programu i jej żołądek związał się w coraz ciaśniejszy węzeł. Bunny również była zdenerwowana. Nie chciała jechać do studia. Wymówiła się bólem brzucha spowodowanym zimną zupą.

- Nadmiar emocji - zakpił Cal. - To miasto wszystkim źle robi na układ trawienny.

Do zamówionej limuzyny towarzyszyła mu Tess. Miała na sobie czarną jedwabną sukienkę i sznur pereł. Cal obrzucił ją długim spojrzeniem, nie odezwał się jednak ani słowem. Milczał również przez całą drogę.

Nienawidzi każdej z tych chwil, pomyślała Tess. Nawet jeśli był zdenerwowany, nie okazywał tego po sobie. Wyglądał przez okno samochodu, pogrążony we własnych myślach.

Miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i prążkowany jedwabny krawat. Do rękawa przyczepił mu się jeden blond włos Bunny i Tess nie mogła oprzeć się pokusie, żeby go zdjąć.

Spojrzał na nią równie niechętnie jak na kierowniczkę produkcji. Tess nie mogła dłużej znieść milczenia.

- O czym zamierzasz mówić w związku z kalendarzem? - spytała, ponownie wracając do poufalej formy.

- O tym - odparł, wzruszając ramionami - że mam nadzieję, iż pieniądze uzyskane z jego sprzedaży przeznaczone zostaną na szkolenie rolników. Nie powinno się poprzestać wyłącznie na doraźnej pomocy finansowej. Zanudzę ich na śmierć.

Westchnęła. Nie wyobrażała sobie, żeby Cal mógł kogokolwiek nudzić. Był na to za inteligentny.

- Wypadniesz świetnie - odparła, walcząc z pokusą poprawienia mu krawata. - Martwisz się o Bunny?

- Zawsze się o nią martwiłem. W porównaniu z nią, wychowanie pozostałej dwójki to bułka z masłem.

Tess przełknęła ślinę. Kiedy po raz pierwszy spotkała Calą, nie zdawała sobie sprawy, jakich kłopotów przysparzała Bunny. Utrzymanie dziewczynki w ryzach musiało mu spędzać sen z powiek. Mógł tego dokonać jedynie ktoś o charakterze Calą.

- Nie martwi cię to, że została w hotelu? Skinął głową, nadal nie patrząc na Tess.

- Nie mogę nadzorować jej bez przerwy, czasem muszę jej zaufać.

W jego głosie było tyle gorzkości, że Tess poczuła się poruszona. Miał rację. Bunny dorastała do wieku, w którym trudno jej będzie cokolwiek

narzucać. Sama musi się nauczyć wystrzegania błędów. Cal nie mógł czuwać nad nią w nieskończoność.

- A co się stało z matką Bunny, twoją siostrą? Milczał przez chwilę, potem pokiwał głową.

- Barbara wyruszyła na podbój Nowego Jorku. Nie udało jej się.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Cal wsparł się o podłokietnik.

- Była pięknością. Myślała, że zrobi tu karierę jako aktorka. Niestety.

Wyszła za mąż za aktora, któremu się również nie wiodło. Mieli trójkę dzieci.

Rozwiedli się. W końcu została damą do towarzystwa. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót.

Tess popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Cal... czy ona...? - zapytała, nie mając odwagi dokończyć.

- Została call girl. Sprzedawała się. Za coraz niższą cenę. Zanim spadła na dno, odesłała dzieci na farmę. Edna niczego nie podejrzewała. Ja sam nie mogłem do końca w to uwierzyć. - Pokręcił głową. - Nasz ojciec był wtedy umierający. Musiałem zająć się gospodarstwem. Nocami pisałem pracę magisterską. Ojciec koniecznie chciał doczekać mojego dyplomu. Harowałem jak wół. Nie dopuszczałem do siebie żadnych złych myśli związanych z Barbarą, nie mogłem. W końcu zamordowano ją.

Z kamienną twarzą wpatrywał się w Tess. Mówił tak spokojnie, że w pierwszej chwili nie zrozumiała. Potem doznała szoku.

- Zamordowano?

- To ryzyko związane z tym zawodem - wycedził przez zęby. -

Wychowałem jej dzieci. Nie potrafiłem jej uchronić, ale tyle przynajmniej mogłem zrobić. Ojciec na szczęście umarł miesiąc przedtem. Dożył mojego dyplomu. Nadal był przekonany, że Barbara czeka na wielką rolę.

- Och, Cal, tak mi przykro. To miasto musi budzić w tobie niemiłe wspomnienia - powiedziała, delikatnie dotykając jego dłoni. Nawet tego nie zauważył.

- Po raz pierwszy byłem tu, żeby ją zidentyfikować i zabrać do domu.
Dom. - Pokręcił głową. - Potem na procesie mordercy. To trwało cały tydzień.
W dzień siedziałem na sali sądowej, nocami spacerowałem po ulicach,
rozmawiając w myślach z Barbarą. Dostał dożywocie. Po ogłoszeniu wyroku
uciekłem, żeby nie zabić go na miejscu.

Znów pokiwał głową.

- Tak, bardzo tego chciałem. Ktoś mnie jednak wyręczył. W więzieniu.
Tak więc zapłacił za wszystko.

Tess spuściła wzrok i cofnęła rękę. Z trudem powstrzymywała łzy.

- Tak mi przykro - odezwała się w końcu zduszonym głosem. - Żałuję, że
wplątałam w to wszystko ciebie i Bunny.

- Nieco za późno - odparł z cieniem gorzkości w głosie.

Limuzyna zatrzymała się przed studium telewizyjnym. Cal gestem
powstrzymał kierowcę i pomógł Tess wysiąść z samochodu. Znalazła się przed
rzęsiście oświetlonym wejściem Rockefeller Center z najprzystojniejszym
mężczyzną w całym mieście u swego boku.

Dopięła swego. Dotarła do Nowego Jorku i wkrótce stanie się częścią
jego potęgi. Powinna szaleć z radości, a jednak czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Jedna z charakterysterek, siedząc obok Tess na kanapie w pokoju
dyspozycyjnym, wpatrywała się w monitor. Palce wplotła we włosy i skrzywiła
się, niczym w ataku bólu.

- Ooo - jęknęła, obserwując Cal'a. - Chciałabym spędzić z nim resztę
życia, mieć z nim dzieci. Och!

Jasnowłosa kierowniczka produkcji opadła na wolne krzesło.

- Jak on to zrobił, że jest taki uroczy przed kamerą? - spytała retorycznie.
- Po południu miał w sobie tyle wdzięku, co kamienny mur, na który wpadło się
z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów. A tu, proszę, wszystkie
amerykańskie kobiety zakochały się w nim. Ja również, chociaż wręcz go nie
lubię.

- Ooo - jęknęła znów charakteryzatorka. - To ja się w nim Kocham, a nie ty. - Zerknęła na Tess. - Ty to masz szczęście. Jaki on jest? Wygląda na inteligentnego i szczerego.

Tess patrzyła w monitor, czując się coraz bardziej nieszczęśliwa. Cal radził sobie świetnie, odpierając próby Morty'ego Jessena zrobienia z niego głupca lub pyszałka. W porównaniu z nim pozostali mężczyźni wypadli mdło i sztucznie.

Ze zdenerwowania Tess ledwo oddychała.

- Jest inteligentny, szczerzy i bardzo odpowiedzialny. Postępuje zgodnie z tym, co mówi. Jeśli obieca kimś się opiekować, dotrzyma słowa. Troszczy się o wszystko, zwłaszcza o ludzi. Jest lojalny, silny i ma głęboko rozwinięte poczucie moralności.

- Czemu po prostu nie powiesz, że jest wręcz doskonały? - spytała ironicznie kierowniczka produkcji. - Czy ma jakieś wady?

Tess spoglądała na Cal'a widocznego w monitorze. Przypomniała sobie, jak niemile przyjął ją za pierwszym razem i jak wiele kłopotów jej przysporzył.

- Czasami wyciąga zbyt pochopne wnioski - odparła po namyśle. - Na ogół, kiedy jest zmęczony lub zdenerwowany.

A ja zawsze go denerwuję, pomyślała smutno. Musi nienawidzić mnie do szpiku kości za tyle prób podejścia go przy pomocy Bunny.

- Och - jęknęła znów charakteryzatorka, łapiąc się za głowę. - Kocham go, naprawdę.

Nie, pomyślała Tess. Ta dziewczyna plecie bzdury. Wcale nie kocha Cal'a. Widzi tylko jego powierzchowność. Z bolesnym ukłuciem w sercu zdała sobie sprawę, że tylko ona kocha go prawdziwie za to, jakim jest człowiekiem, nie za wygląd. Pokochała go bezwiednie. I co z tego? Przecież on jej nie kocha.

W drodze powrotnej siedziała w limuzynie onieśmielona. Przez dłuższy czas Cal nic nie mówił, spoglądał jedynie na morze świateł wokół nich, Tess bała się odezwać.

W tylnej części limuzyny znajdował się barek, w którym ktoś z pracowników programu umieścił butelkę szampana w kubelku z lodem. Cal westchnął niecierpliwie.

- Możemy sobie pozwolić - powiedział i wprawnie odkorkował butelkę, nie roniąc przy tym ani kropelki. Napełnił kieliszek Tess i nalał sobie.

- Za zakończenie całej sprawy - powiedział, podając jej szampana.

Tess skinęła głową i trącili się kieliszkami. Nie miała siły się uśmiechnąć. To już koniec, pomyślała z żalem. Wspaniały szampan smakował gorzko.

Czuła na sobie spojrzenie Cala. Peszyła ją bliskość jego szczupłego, umięśnionego ciała.

- To już początek dekadencji. - Spojrzał na nią znad kieliszka. - Przypuszczam, że ci się to podoba. - Uśmiechnął się w trudny do rozszyfrowania sposób.

- Nie wiem, czy mi się podoba. Nigdy przedtem nie piłam szampana w limuzynie.

- Szybko przywykniesz. - Uśmiechnął się jeszcze dziwniej. - Kiedy masz spotkanie w sprawie pracy?

- Jutro o dziesiątej trzydzieści.

- Przerażona?

- Śmiertelnie.

Poczuła, jak coś ściska ją za gardło.

- Boisz się, że się nie uda? - Uniósł brew.

- Nie wiem, naprawdę sama nie wiem. - Pokręciła głową.

- To czym się tak dziś zdenerwowałaś? Bałaś się, że postawię cię w niezręcznej sytuacji i stracisz pracę, zanim ją dostaniesz? - zapytał drwiąco.

- Wcale nie byłam zdenerwowana - skłamała, bawiąc się sznurem sztucznych pereł.

Cal roześmiał się głośno, co wprawilo ją w zakłopotanie.

- Po wejściu do studia zrobiłaś się zielona i przez cały czas łykałaś ślinę.

- Wcale nie - łągała, mając nadzieję, że wypadnie to przekonująco.
- Lepiej zacznij się przyzwyczajać - zauważył, jeszcze wyżej unosząc brew. - To ma być przecież twój świat. O co chodzi? Wygląda na to, że ci niezbyt odpowiada.

- Bardzo mi odpowiada - zaprotestowała, przeklinając w duchu los, że zetknął ją z mężczyzną siejącym w jej umyśle same wątpliwości.

- No, to bardzo dobrze - stwierdził poważnie. - Co do mnie, wracam na farmę, będę ujeżdżał ogiery, naprawiał płoty i wyciągał cielęta ze strumyka. Stać mnie chyba na to?

- Właściwie to mi trochę tego żal - powiedziała i bojąc się, że zabrzmiało to zbyt płaczliwie, dodała: - Odrobinę.

- Odrobinę - powtórzył Cal i znów spojrzał w okno. Tess poczuła się lepiej.

- Ci ludzie z programu Morty'ego Jessena chcieliby, żebyś jeszcze raz u nich wystąpił. Nie wspominali ci o tym? Wrócisz jeszcze do Nowego Jorku?

Pytanie przez dłuższą chwilę zawisło w powietrzu.

- Nie - odparł, kręcąc głową. - Dopóki nie będzie warto. Serce Tess zabiło nierównym rytmem.

- A czy jest coś, dla czego chciałbyś tu wrócić? - zapytała z wymuszoną swobodą.

Cal odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

- Chyba nie.

Po wyjściu z limuzyny Cal ujął Tess pod rękę. Morty lessen ulokował ich w luksusowym hotelu. Hol wyglądał jak utkany z kryształowych żyrandoli, marmurów, miękkich dywanów i świeżych kwiatów.

- Doskonale wypadłeś w telewizji - odezwała się Tess, pragnąc przerwać krępujące milczenie. - Naprawdę. Wydawałeś się wręcz odprężony.

Cal uśmiechnął się gorzko.

- Byłem tak odprężony, jak człowiek w pokoju pełnym jadowitych węży.

Podeszli do wind. Cal wcisnął lśniący, mosiężny guzik, drzwi rozsunęły się i weszli do wyłożonego lustrami wnętrza. Tess obserwowała w lustrze, jak Cal zdejmuje krawat i rozpina górny guzik koszuli.

- Muszę się pozbyć tych łańców i strzelić sobie jednego. Bąbelki nie należą do moich ulubionych napojów.

- Jesteś zdenerwowany? Nie wyglądasz.

- Jeśli chcesz, możesz napić się ze mną. Szampan wcale cię nie rozluźnił. Ale czym ty się właściwie zdenerwowałaś? Bałaś się, że zachowam się jak dzikus, pogryzę kogoś?

Tess była zachwycona i nieco wstrząśnięta zaproszeniem na drinka.

- Wypadłeś cudownie. Jak zwykle - wyrwało się jej niechęć.

- Mam nadzieję, że Bunny czuje się lepiej - powiedział ponuro. - Ten dzieciak ma wrażliwy żołądek. Może to ją nauczy, że Nowy Jork nie jest dla niej odpowiednim miejscem. Powinna dalej się uczyć.

Winda zatrzymała się i wyszli do holu wyściełanego grubym, ciemnoczerwonym dywanem.

- Jeśli dostanę tę pracę - odezwała się Tess, przełykając ślinę - nieprędko zawitam do Omaha. Ale pamiętam, co obiecałam. Znajdę Bunny dobrego fotografa, żeby ją podksztalił.

Cal nie zwrócił uwagi na to, że Tess komunikuje mu, iż znika z jego życia na dobre.

- Wolałbym, żeby poszła do szkoły pomaturalnej - powiedział, przekręcając klucz w zamku.

Kiedy tylko znaleźli się wewnątrz, Tess zorientowała się, że coś jest nie w porządku. Pokój był pusty i ciemny.

Ogarnęły ją złe przeczucia. Spoglądała w półmrok pokoju, starając się nie myśleć, co to może znaczyć.

Cal zaklął i zapalił światło. W pokoju panował bałagan. Drzwi szafy były otwarte, rzeczy Bunny zniknęły. Nie było również jej walizki.

Na stoliku do kawy, przyciśnięta popielniczką, leżała kartka wyrwana z hotelowej papeterii.

Tess stała jak sparaliżowana. Cal powoli podszedł do stolika i wziął kartkę. Był blady, mięśnie miał naprężone. Przeczytał liścik skreślony okrągłym charakterem pisma Bunny. Potem spojrzął na Tess.

Wyraz jego oczu przeraził ją. Widniał w nich gniew i zdumienie.

- Co się stało? - spytała, choć już odgadła.

- Bunny wychodzi za mąż za Freda Fortescue. Przyjechał tu za nią. Mój Boże - jęknął i opadł na fotel jak człowiek powalony jednym ciosem.

Tess nie odezwała się. Stała i przyglądała mu się z napięciem. Cal zmiął kartkę i cisnął na podłogę.

- Odeszła. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Przegrałem, straciłem ją. Odeszła.

Te słowa i jego spojrzenie przeszły serce Tess niczym lodowaty sztylet.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przesiedzieli pół nocy w pokoju hotelowym, pijąc kawę i telefonując bezskutecznie w różne miejsca. Policja nie będzie szukała Bunny, ponieważ nie może uznać jej oficjalnie za zaginioną.

Cal w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami przycupnął na krawędzi łóżka. Odłożył słuchawkę i przeciągnął dłonią po włosach. Właśnie skończył rozmawiać z prawnikiem.

- Jest nieletnia, więc jej małżeństwo można by anulować - mruknął. - Do tego czasu jest jednak ważne. Do pełnoletności brakuje jej zaledwie dwóch tygodni. Facet twierdzi, że żaden sąd nie podważy małżeństwa, jeśli Bunny się na to nie zgodzi. A zanim przyjdzie co do czego, będzie dorosła i wszystko stanie się legalne. Cholera!

Tess siedziała na podłodze obok łóżka. Zdjęła buty i kolczyki. Dopijając kolejną zimną kawę, po raz dziesiąty czytała pozostawiony przez Bunny liścik.

Drogi wujku Cal!

Kocham ciebie i Ednę, ale Fred i ja jesteśmy sobie przeznaczeni i postanowiliśmy się jak najszybciej pobrać. Rozważyliśmy to starannie i doszliśmy do wniosku, że tak będzie najlepiej. Na razie nie wrócimy do Nebraski. Jedź sam.

Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu. Ciesz się moim szczęściem! Bardzo cię kocham i dziękuję za wszystko! Kocham również Ednę. Powiedz jej, że czuję się dobrze i będę codziennie o was myśleć. Fred i ja jesteśmy artystami. Musieliśmy to zrobić.

Twoja Bunny

Ukradkiem potarła oczy. Bunny popełniła błąd w słowie „przeznaczeni”. Tess miała nadzieję, że to nie żaden zły omen. Cał rozmasował sobie kark i pokręcił głową.

- Pewnie pojechali do Vermont. Tam można wziąć ślub od ręki. Juto o tej porze będzie już po wszystkim. No cóż, ma czego chciała. Jest wolna. O ile związanie się z Fredem Fortescue do końca życia można nazwać wolnością.

- Nie martw się - odezwała się Tess, spoglądając na niego. - Nigdy nie wiadomo. Może im się jakoś ułoży.

Oparł łokcie na kolanach, wciąż jedną ręką masując kark.

- Akurat. Kiedy słońce wzejdzie na zachodzie, a krowa przeskoczy przez księżyc.

- Chodzi mi jedynie o to - twierdziła z przekonaniem Tess - że Bunny jest wyjątkowo utalentowaną dziewczyną, a Fred ma fioła na jej punkcie. Skoro był wystarczająco bystry, żeby wykładać w szkole pomaturalnej, powinien również poradzić sobie w Nowym Jorku.

Cał wcale jej nie słuchał.

- Wiem dobrze, co zrobiłaby, gdybym się sprzeciwił. Zaszłaby w ciążę. Tylko tego brakowało, żeby dziecko miało dziecko.

Zaklął i wyciągnąwszy się na łóżku z rękoma założonymi pod głowę, wpatrywał się w sufit. Tess przyklękła obok łóżka.

- Wiem dobrze, że dziewczęta młodsze od Bunny wychodzą za facetów głępszych od Freda, a jednak jakoś udaje im się ułożyć sobie życie. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy...

Uniósł się i zerknął na nią.

- I kto to mówi? Pracownica reklamy wyspecjalizowana w opowiadaniu miłych kłamstewek. Nie wychwalaj mi teraz zalet małżeństw wśród nieletnich. Nie chcę tego słuchać.

Nie odpowiedziała. Cal miał prawo być wściekły. Włosy opadły mu na czoło. Tess z trudem opanowała chęć odgarnięcia ich, wiedząc, że lepiej tego nie robić. Bezsilnie zaciskała i rozluźniała palce.

Cal przekreślił się na bok i wsparł na łokciu. Drugą ręką ujął Tess pod brodę.

- Widzę, że nie straciłaś w nią wiary - odezwał się z kamienną twarzą. - Wreszcie zaczęła, zgodnie z twoim życzeniem, żyć po swojemu, choć może ściągnąć w ten sposób na siebie nieszczęście. Podtrzymaj ją na duchu. Potrzebuje tego, bo nie jest ani tak dojrzała, ani tak wykształcona, ani tak doświadczona jak ty. Nie jest również taka oziębła. Idź więc i opowiadaj jej o tym, jak wszystko świetnie się ułoży, nie mnie.

- Kiedy ja... - zaczęła Tess.

- Ty masz jutro spotkanie w sprawie pracy - powiedział, pochylając się bliżej. - Nie chciałbym pozbawiać cię bezcennego snu.

- Cal... - rozplakała się. - Ja nie chciałam, żeby tak wyszło. Nie doceniałam uporu Bunny. Nie chciałam...

- Sza. To już się stało. Ale co to cię obchodzi? Jesteś w Nowym Jorku, tego przecież pragnęłaś.

Jednak nie w ten sposób, chciała krzyknąć.

- Więc po co te łzy? - kpił. - Już ci mówiłem, osiągnęłaś swój cel. To ja i Bunny zapłacimy za wszystko. Dziecko, któremu zapewne zniszczyłaś życie.

- Nie chcę, żebyś tak o mnie myślał - odparła zrozpaczona, nie kryjąc łez.

- Ależ, Tess, ze łzami ci do twarzy. Oczy lśnią ci wtedy w blasku świec. Przejmujesz się tym, co myślę i czuję? Gdyby tak było naprawdę, zostawiłabyś mnie w spokoju po pierwszym spotkaniu.

- Nie chciałabym...

- I jeszcze chciałabyś, żebym cię mile wspominał - przerwał Cal. - Niesamowite. Zaczynasz wielką karierę i życzę ci wszystkiego najlepszego.

- Nie.

- Nie wierzysz mi? Więc cię pocałuję na szczęście.

Pochylił się, unosząc jej twarz.

Pocałunek wstrząsnął nią do głębi. Zimne usta Tess drżały w zetknięciu z gorącymi wargami Cala. Cała się trzęsła.

Do tej pory potrafiła wyczuć w jego pocałunku gniew lub pożądanie. Tym razem rozpoznała całkiem nowe uczucia. Żal zmieszany z pogardą.

Pragnęła trwać w tym pocałunku do momentu, aż z jego warg odczyta przebaczenie. Cal cofnął się i powiedział:

- Żegnaj. Powodzenia.

Tess miała wrażenie, że jej usta są lodowate bez dotyku jego gorących warg. Cal znów położył się na wznak, zakładając ręce pod głowę. Poczuli się jeszcze bardziej samotna.

- Idź już, Tess. Nie masz tu nic do roboty. Swoje już zrobiłaś. Teraz muszę się zastanowić, jak powiedzieć o wszystkim Ednie.

Patrzyła na niego przepelniona bólem. Potem pozbierała koleczki i buty i ociągając się, ruszyła w stronę drzwi. Obejrzała się w progu. Cal nadal leżał, spoglądając w sufit.

Raz jeszcze chciała powiedzieć, jak bardzo jej przykro, lecz wiedziała, że to w niczym nie pomoże. Upokorzona wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Bunny - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Jak mogłaś mu to zrobić?

Doskonale wiedziała, jak Bunny zrobiła to, czego Cal najbardziej się obawiał. A Tess niechcący jej w tym pomogła.

Kiedy następnego ranka zadzwoniła, żeby dowiedzieć się, czy są jakieś nowe wieści o Bunny, nie zastała Cala. Poszła więc w podłym nastroju na spotkanie z Aggy Chadwick do małej, lecz eleganckiej agencji przy Madison Avenue. Podczas rozmowy reagowała jak robot, ale być może tego właśnie od niej oczekiwano i dostała propozycję pracy przy telewizyjnych migawkach reklamowych. Tess uśmiechnęła się, mechanicznie powiedziała „tak” i przyjęła

propozycję. Potrzebowała tygodnia, żeby uporządkować swoje sprawy w Nebrasce.

Po powrocie do hotelu dowiedziała się, że Cal zwolnił pokój i zostawił dla niej liścik. Stojąc przy eleganckim kontuarze recepcji, niecierpliwie rozerwała kopertę.

Dziś rano Bunny wyszła za mąż w Vermont.

Wracam do domu uspokoić Ednę. Bardzo śmieszne, prawda?

Cal

Tess stała bez ruchu, spoglądając tępo w kierunku mosiężnych drzwi wejściowych.

- Czy pani dobrze się czuje? - spytał recepcjonista.

Najwyraźniej bał się, że Tess zemdleje i narobi zamieszania w eleganckim hotelu.

- W porządku - odparła, chociaż widziała wszystko jak przez mgłę i w zwolnionym tempie.

Została jeszcze dwa dni w Nowym Jorku, przenosząc się do tańszego hotelu. Wynalazła sobie małe mieszkanko, dość drogie i odległe od miejsca przyszłej pracy, ale nie miało to większego znaczenia. Musiała czymś się zająć, odreagować, znów zacząć żyć jak normalny człowiek.

Potem poleciała do Nebraski, wymówiła mieszkanie, spakowała rzeczy osobiste, a większość mebli przekazała Armii Zbawienia. Poszła z Delią na pożegnalny lunch i obie się popłakały. Wszystko to wydawało się Tess jakieś nierealne, jakby od rzeczywistości odgradzała ją gruba szklana ściana.

- Dobrze się czujesz? - spytała Delia, kiedy się rozstawały. - Wyglądasz jakoś dziwnie.

- Doskonale - skłamała Tess. Nie opowiedziała jej o Bunny. Wstydziła się.

Później w magiczny sposób znów się znalazła w Nowym Jorku i atmosfera tego miasta zawirowała wokół niej jak w szalonym kalejdoskopie. Tess doszła do wniosku, że Manhattan stanowi spełnienie jej najskrytszych marzeń, tak samo jak jest odbiciem najstraszniejszych koszmarów sennych.

Spotykała tam mnóstwo pięknych, elegancko ubranych osób. Wystawy sklepów przy Piątej Alei przyprawiały ją o zawrót głowy. Obok mieściły się kina, teatry, bary i wytworne restauracje. Muzea pękały w szwach od natłoku cennych eksponatów. W galeriach sprzedawano wybitne dzieła sztuki. Całe miasto tętniło życiem. Było rajem dla zdrowych, utalentowanych i bogatych. Nowy Jork oferował wszystko, co tylko zdołała wytworzyć ludzkość.

Panował tam również ścisk, ruch i hałas, które bardzo przytłaczały Tess. Po tych samych ulicach poruszali się ludzie nieprawdopodobnie bogaci i wręcz bezdomni. Niektórzy wyglądali na kryminalistów lub na niebezpiecznych osobników. Stali na chodnikach, miotając przekleństwa pod adresem przechodniów, czasem złorzeczyli całemu światu.

Raz zobaczyła, jak pewien mężczyzna upadł na chodnik i leżał bez ruchu. Wszyscy omijali go i tak właśnie postąpiła przestraszona Tess, wiedząc, że będzie miała wyrzuty sumienia do końca życia.

Widziała, jak samochód zabił przechodnia oraz mężczyznę, który zachowywał się jak samobójca, spacerując pomiędzy pędzącymi autami. Krzyczał i szlochał. W końcu zabrała go policja. Ten obraz prześladował Tess przez kilka tygodni.

Pewnego dnia, w samo południe, ktoś zerwał jej z szyi złoty łańcuszek. Od tej pory stale miała się na baczności, niczym małe zwierzątko, łatwo mogące paść łupem drapieżnika. Nowy Jork oferował jej nie tylko to, co najlepsze, również to, co najgorsze.

Jej mieszkanie było tak mikroskopijne, że nie musiała zastanawiać się na tym, co porabia sąsiad, zwłaszcza że miał manię walenia we wszystko młotkiem. Przez całe wieczory i część nocy ściany drżały od huku. Po drugiej

stronie mieszkała kobieta, która najwyraźniej pragnęła zostać śpiewaczką operową i bez przerwy ćwiczyła głos. Chociaż Tess nie znała ni w ząb niemieckiego, wkrótce nauczyła się na pamięć całej koloraturowej arii z „Die Zauberflaute”.

W pracy najbardziej przeszkadzało jej to, że wszyscy poruszali się trzy razy szybciej niż w Omaha, co wcale, zdaniem Tess, nie wpływało na podniesienie wydajności. Odnosiła wrażenie, że jest tam za dużo osób ze zbyt wielkimi pieniędzmi, zarobionymi szybko i łatwo. Personel nękały nerwice, migreny i wrzody żołądka, leczone zazwyczaj trzema martini podczas lunchu.

Najgorsi byli klienci. Jako pierwsze trafiło się jej czasopismo „Tom Cat”, tak obsceniczne, że z trudem zmusiła się, żeby wziąć egzemplarz do ręki.

Średniej wielkości linie lotnicze usiłowały dzięki kampanii reklamowej poprawić swoją reputację. Słynęły z niepunktualności i tego, że ich pracownicy niestrudzenie wysyłali bagaże pasażerów w zupełnie przeciwnym kierunku. Ich samoloty miały niepokojącą tendencję do utraty mocy silników i często lądowały w polu lub na drodze. W przeddzień przyjęcia przez Tess zlecenia, liniom lotniczym przytrafił się największy wypadek w ich historii.

- Włóż w tę kampanię całą duszę - powiedziała Aggy Chadwick. - Chcę, żeby wypadło to wspaniale. Ale mówiąc między nami, jeśli cenisz swoje życie, nie korzystaj z ich usług.

Trzecim wielkim zadaniem Tess była reklama tuńczyka firmy Ocean D-Lite. Tess nigdy nie kupowała ich wyrobów, ponieważ firma używała sieci, w którą łapały się delfiny. Te biedne ssaki tonęły, nie mogąc wypłynąć. Przy okazji śledztwa w tej sprawie wyszło na jaw, że martwe delfiny, jako produkt uboczny, dodawano do puszek z karmą dla kotów.

Lato z wolna dobiegało końca. Tess napisała teksty dla „Tom Cat”, chociaż nie zamierzała czytać tego pisma, dla AirStreak Airline, chociaż nie zamierzała korzystać z ich usług i dla Ocean D-Lite, choć i tak nie kupowała ich

wyrobów. Nieraz łapała się na tym, że tęskni do farmy w Nebrasce i wysokiego mężczyzny, który wyglądał na uczciwego, pogodnego i spokojnego człowieka.

Pewnego popołudnia, pod koniec lipca, Tess wychodziła z pracy, przygotowując się psychicznie do jazdy zatłoczonym metrem. Chodnik był tak rozgrzany, że palił ją przez podeszwy butów. Nagle ktoś klepnął ją w ramię.

Odwróciła się przerażona i spojrzała wprost w brązowe oczy Bunny.

- Cześć - uśmiechnęła się dziewczyna. - Jak ci leci? To wspaniałe miasto. Czyż można go nie kochać?

Tak zaskoczyła Tess, że ta w pierwszej chwili oniemiała. Zobaczyła przed sobą młodą kobietę, wyglądającą na rdzenną mieszkankę Nowego Jorku, która sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie i energicznej.

Bunny utleniła sobie włosy, obcięła i uczesała w awangardowym stylu. Miała na sobie najmodniejsze ubranie. Przez ramię przewiesiła torbę z aparatem fotograficznym. W uszach dyndały jej kolczyki zrobione z cieniutkich kosteczek.

- Jak się masz, Bunny? - spytała Tess, zastanawiając się jednocześnie, jak by te zmiany przyjął Cal. Powinna być zła na Bunny, lecz na widok znajomej twarzy rozchmurzyła się.

- Wspaniale. W dzień robię portrety dzieci, wieczorami pracuję na własną rękę. Zrobiłam serię zdjęć zebraczek i pismo „Earthworks” kupiło jedno z nich. Przy okazji złożyli mi zamówienie. Dzikie zwierzęta w mieście. Wczoraj sfotografowałam takiego szczura, że nie uwierzysz.

Bunny była tak pełna życia i energii, że Tess poczuła się przy niej staro.

- To cudownie. Jak tam Fred?

- Jest fantastyczny - odparła z entuzjazmem Bunny. - Jeszcze nie znalazł pracy jako aktor, ale zajął się wyrobem biżuterii. - Pokręciła głową, aż kostki w uszach zagrzechotały. - No i jak, podoba ci się?

- To bardzo... interesujące - powiedziała zaniepokojona Tess. Cal miał rację. Fred jest bezrobotny, a osiemnastoletnia Bunny musi ich utrzymywać.

- Te kolczyki są z kurzych żeberek - wyjaśniła Bunny, wciąż kręcąc głową. - Wszyscy je kupują. Fred robi również bransoletki i naszyjniki. Po prostu nie nadają. Zastanawia się, czy nie rzucić aktorstwa. Jubilerstwo też jest sztuką. W pewnym wziętym butiku sprzedano jego naszyjnik za cztery setki.

Tess zamrugła ze zdumienia. Oczywiście, pomyślała, w tym zwariowanym mieście wszystko jest możliwe. Jacyś szaleńcy doszli nagle do wniosku, że noszenie kolczyków z kurzych żeberek jest bardzo modne.

Mimo że Tess ucieszyła się z sukcesu Freda, przeszła nad tym do porządku dziennego. Interesowało ją co innego.

- Kontaktujesz się z wujem? - spytała z wahaniem.

- No jasne - powiedziała Bunny. - Słuchaj, a może poszłybyśmy kiedyś na lunch?

- Dobrze - odparła Tess. - Co u niego? Jak przyjął, no wiesz, wasze małżeństwo? Dalej jest zły na Freda? Jak tam Edna?

- Jest w porządku. - Wzruszyła ramionami Bunny i wyciągnęła z torby aparat fotograficzny. - Przystosowuje się do nowej sytuacji. Uczy się akceptować Freda. Edna jest wspaniała jak zawsze. Wybieramy się do nich na Boże Narodzenie. Jak ci leci w pracy?

Tess zgrzytnęła zębami. Bunny nie traciła czasu na drobiazgi.

- Doskonale - skłamała. - Ale twój wuj... był taki załamany.

Bunny wycelowała obiektyw w gołębia szperającego w śmietniku.

- Pogodził się z tym. Musiał zrozumieć, że nie jestem taka jak moja matka. Potrafię sobie poradzić, wierz mi.

Zrobiła kilka zdjęć. Odwiesiła aparat i pogrzebała w drogiej, czarnej skórzanej torebce.

- Proszę - powiedziała, wręczając Tess kawałek papieru. - Tu jest numer mojego telefonu. Zadzwon, pójdziemy na lunch. Kto wie, może twoja agencja będzie miała dla mnie jakieś zlecenia?

Uśmiechnęła się czarująco i zniknęła w tłumie.

To miasto jej służy, pomyślała Tess. Dziewczyna kwitnie tu i prosperuje. Miała jednak rację. Tu jest jej miejsce.

Tess spotkała Bunny jeszcze trzy razy. Kiedyś wybrały się razem, żeby kupić antyczne wisiorki, potem wpadła do Bunny i Freda na kolację. Fred okazał się wysokim, przystojnym blondynem, niezbyt jednak rozbudowanym. Uwielbiał za to żonę, wierzył jej bezgranicznie i gotów był zrobić wszystko, by ją uszczęśliwić. Chociaż był starszy i bardziej wykształcony, Bunny wyraźnie przewodziła w tym związku. Oboje traktowali to zupełnie naturalnie.

Powinna właściwie się cieszyć, że Bunny tak wspaniale przystosowała się do życia w Nowym Jorku. Dzięki temu mogła nie mieć wyrzutów sumienia, że sama przysłużyła się niechcący do sprowadzenia jej tutaj.

Przy każdym spotkaniu coraz bardziej przekonywała się, że Bunny od zawsze potrafiła być panią własnego losu.

Dziewczyna musiała urodzić się z niezachwianym przekonaniem o własnej wartości, co skłaniało ją do uporów w działaniu. Była zuchwałą, w razie potrzeby gotowa odrzucić wszelkie skrupuły. Biada temu, kto stanął na drodze jej pragnień. Sprawiała wrażenie osoby dzikiej i nieokiełznanej.

Jednak kontakty z Bunny wpływały przygnębiająco na Tess. Im bardziej dziewczyna cieszyła się ze swego nowego życia, tym dotkliwiej Tess odczuwała brak satysfakcji ze swojego. W dodatku Bunny przypominała jej o Calu, a to wspomnienie raniło niczym cios noża. Kiedyś wydawało się jej, że mają wspólne marzenia. Teraz zdała sobie sprawę, że każda kobieta marzy o czymś zupełnie innym.

W połowie sierpnia postanowiły wybrać się w sobotnie popołudnie na wystawę dziewiętnastowiecznej fotografii. Tess oczywiście myślała o Calu. Po raz setny wyobrażała sobie, że skontaktuje się z nim i powie, jak wspaniale urządziła się Bunny. Za każdym razem brakowało jej odwagi. Wkładała właśnie złote kolczyki, gdy zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę i zdziwiła się, słysząc swego starszego brata, Sartona. Ktoś z rodziny skontaktował się z nią po raz pierwszy od chwili, gdy napisała do nich, że przenosi się do Nowego Jorku.

- Ojciec jest chory - zakomunikował zwięźle brat. - Miał zawał. Chce cię zobaczyć. Myślę, że powinnaś przyjechać.

Na te słowa serce Tess omal nie wyskoczyło z piersi. Niemożliwe, ojciec nie może być chory. W tę noc, gdy się rozstawali, był wobec niej tak twardy i nieustępliwy, że chyba nic nie mogło go skruszyć.

- Zawał? Poważny? Gdzie on jest?

- Bardzo poważny. Jest w szpitalu świętego Józefa w Omaha. No to przyjedziesz czy nie?

Tess zacisnęła zęby, próbując się opanować. Jej uczucia w stosunku do ojca były wyjątkowo skomplikowane. Rozkazujący ton Sartona nie pomagał jej w podjęciu decyzji, chociaż nie mogła go za to winić. Sarton zawsze był milczkiem i telefon nie należał do jego ulubionych środków komunikowania się z ludźmi. Nawet w takiej chwili trudno było wymagać, żeby się nagle zmienił.

Ojciec jest tak ciężko chory, że mnie wzywa, pomyślała z przerażeniem. Jeżeli schował dumę do kieszeni, to sytuacja musi być naprawdę poważna. Ten gest oznaczał jednak, że wciąż ją jeszcze kocha.

Z drżeniem serca uświadomiła sobie nagle, że również kocha ojca. Tyle czasu wmawiała sobie, że tak nie jest, udawała, że nie obchodzi jej dom rodzinny, ale dłużej już nie mogła tłumić własnych uczuć. To był jej ojciec i kochała go.

- Przyjadę najszybciej, jak to tylko możliwe - odparła bratu. - Powiedz mi o tym.

Zadzwoiła do Bunny, odwołując spotkanie, a potem do Aggy Chadwick, informując ją, że przez parę dni nie będzie w pracy. Aggy nie była tym zachwycona.

- Tess - odparła lodowatym tonem. - Zalegasz z projektem reklamy AirStreak. Jeszcze nie dostarczyłaś mi ani linijki tekstu, a ostateczny termin upływa w przyszłym tygodniu.

- Pani Chadwick, trudno mi wzbudzić w sobie entuzjazm do linii lotniczej przezywanej „Świeży Stek”. Ich DC 10 rozbił się wczoraj podczas lądowania na polu golfowym w New Jersey. To cud, że nikt nie zginął.

- Nie musisz ich lubić, tylko dobrze sprzedać - parsknęła Aggy Chadwick.
- Na tym polega twoja praca.

Czułam się o wiele lepiej, pracując z kurczakami i szympansem, pomyślała ponuro Tess.

- Przygotuję to w samolocie - obiecała.

Potem zadzwoniła, żeby zarezerwować sobie bilet lotniczy do Omaha.

Jak na złość wolne miejsca były tylko w AirStreak Airlines. Podczas lotu zgubili jej bagaż, mieli kłopoty z silnikiem i dotarła do Omaha z pięciogodzinnym opóźnieniem. Oczywiście nie napisała ani linijki.

Bracia, będąc mało wylewnymi ludźmi, nie mieli jej dużo do powiedzenia, chociaż nie widzieli jej od wielu lat. Mimo wszystko wydawali się zadowoleni z jej przyjazdu.

Sarton w milczeniu prowadził ją do pokoju, w którym leżał ojciec. Ze zdenerwowania serce Tess waliło jak oszałałe.

Zastanawiała się, jak poważnie chory jest ojciec, co jej powie, co ona ma mu do powiedzenia. A może to wszystko było jedną wielką pomyłką? Co będzie, jeśli raz jeszcze się przekona, że są dla siebie obcy?

Zatrzymali się przed drzwiami. Tess instynktownie pojęła, że właśnie przekracza pewną granicę.

- On chce porozmawiać z tobą w cztery oczy - burknął Sarton.

Tess położyła dłoń na klamce. Spojrzała na brata. Był wielkim, silnym, ciemnowłosym mężczyzną.

- Sarton, wiesz, że nie chciałam nikogo zranić moim odejściem. Ja tylko...

- Rozumiem - odparł Sarton. - Wszyscy to rozumiemy.

Odwrócił się i szybko odszedł, pozostawiając ją z dłonią na klamce.

Czy naprawdę rozumiał, zastanawiała się, kuląc ramiona. Nigdy nie wiedziała, co myślą lub czują jej bracia. Ich zachowanie pomogło jej w podjęciu decyzji opuszczenia domu. Dla nich uczucia stanowiły rodzaj słabości, do której nie wypadało się przyznawać. A co do ojca... Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim sądzić. Nagle zapragnęła znaleźć się z powrotem w szalonym Nowym Jorku, gdzie jej serce znalazło bezpieczne schronienie przed tymi małomównymi mężczyznami.

Nacisnęła klamkę i weszła do pokoju.

Chory spoczywał na łóżku z głową opartą wysoko na poduszkach. Podłączono do niego maszynę nadzorującą pracę serca. Na widok Tess zareagował gwałtownie, bo maszyna pisnęła nieregularnym rytmem. To ją przestraszyło. Był blady, choć nadal wyglądał na wielkiego i silnego.

Przez dłuższą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Tato - powiedziała wreszcie - dobrze się czujesz?

Ojciec rzadko się uśmiechał i teraz też pozostał poważny.

Tess zbliżyła się ostrożnie do łóżka. Potem, sądząc, że tak wypada, pochyliła się, pocałowała go w policzek i przytuliła się do niego. Wciąż nic nie mówił i się nie ruszał.

Nagle poczuła, że delikatnie gładzi ją po włosach. Niemal natychmiast cofnął rękę. Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Wyglądał na nieszczęśliwego i udręzonego.

- Brakowało mi Ciebie, Tess - odezwał się cicho. - Przykro mi, że Cię odtrąciłem.

To wyznanie kosztowało go masę wysiłku. Tess ujęła go za rękę, oczy miała pełne łez. Chciała powiedzieć, że jej również jest przykro, ale nie potrafiła.

Ojciec niezdarnie uściskał jej dłoń. Nigdy dotąd nie okazał tak wielkiego wzruszenia. Spojrzał na nią i odwrócił wzrok ku oknu.

- Nie mów nic, to ja powinienem cię przeprosić. Tess bezskutecznie usiłowała powstrzymać łzy.

- Nie szkodzi - powiedział ojciec. - Płacz, jeśli chcesz. Nigdy nie udało mi się powstrzymać twojej matki od płaczu. Wiesz, jesteś zupełnie taka jak ona. Chłopcy wrodzili się we mnie, a ty w matkę.

Ocierała łzy wierzchem dłoni. Przygryzła wargę, żeby nie drżała. Chciała powiedzieć ojcu to wszystko, co nagromadziło się w niej od lat, ale przeszkadzały jej łzy.

Ojciec wciąż patrzył w okno. Tess trzymała go za rękę.

- Twoja matka kochała naszą farmę. Poszła do pracy, żebyśmy byli w stanie ją utrzymać. To mi nie odpowiadało, ale ona się uparła. A kiedy zginęła, oskarżałem o to siebie. Że nie mogłem sam nas utrzymać.

Tess zagryzała mocniej wargę, spoglądając na twarz ojca. Była jeszcze bledsza i pozbawiona wyrazu, tylko lekko drżał mu podbródek.

- Czy sądzisz, że gdybyś zarabiał więcej pieniędzy, matka nie musiałaby iść do pracy? Że nie zginęłaby?

- Ja nie sądzę. Wiem to. Ten skrawek ziemi wyssał z nas całą krew, a ona oddała życie za farmę. Dlatego sprzedałem to przeklęte miejsce.

- Ależ, tato, wszyscy kochaliśmy naszą farmę - powiedziała drżącym głosem Tess. - Ty również.

- Nie potrafiłem jej utrzymać. - Pokręcił głową. - Słuchaj, Tess, musisz mnie zrozumieć. Nawet kiedy byłaś malutka, nie okazywałem ci zbyt wiele uczuć. Nie potrafiłem. Tylko matka mi w tym pomagała. Kiedy zginęła, omal nie oszalałem. Przypominałaś mi ją tak bardzo, że chciałem, byś porzuciła swoje mrzonki. Ona również skończyła szkołę pomaturalną. Dzięki temu dostała pracę u prawnika. Zatrzymując ciebie, usiłowałem zatrzymać część twojej matki. Ale przesadziłem. Odtrąciłem cię. - Umilkł na chwilę. - To tak, jakbym utracił ją po

raz drugi. Byłem jednak zbyt dumny, by przyznać się do błędu. Aż do tej chwili. Gdy człowiek spojrzy śmierci w oczy, rozumie, jak niewiele znaczy duma. Matka znienawidziłaby mnie za to, jak paskudnie się z tobą obszedłem. Postanowiłem to naprawić.

Ojciec wyglądał tak mizernie, że Tess się przestraszyła. Zadzwoiła po pielęgniarkę.

- Wysłuchaj mnie - ciągnął. - Dopiekłem ci tak, że uciekłaś. Przepraszam. Jestem z ciebie dumny. Bardzo dumny. A zwłaszcza z tego, że przyjechałaś do mnie.

Tess jeszcze raz się rozplakała. Ojciec nigdy nie mówił, że ją kocha, ani nie przeproszał. Od śmierci matki nie pamiętała też, żeby wspomniał, że jest z niej dumny.

- Ja też cię kocham - odparła, ściskając jego dłoń.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Tess znów pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Wtedy weszła pielęgniarka i wyprosiła ją z pokoju.

W trzy dni później lekarze orzekli ostrożnie, że ich zdaniem największe zagrożenie minęło. Tess zamierzała wrócić do Nowego Jorku w niedzielę, przedtem jednak postanowiła zadzwonić do Cala i Edny. Pragnęła powiadomić ich, że Bunny radzi sobie doskonale i jest szczęśliwa.

Na poczcie zakomunikowano jej, że numer został zmieniony i zastrzeżony.

- Chyba nie cierpi telefonów - skomentowała to Delia. Tess zatrzymała się u niej i codziennie spotykały się koło szpitala na lunchu.

- Pewnie doprowadzały go do szału po programie - mruknęła Tess. Siedziały wraz z Delią w niewielkiej restauracyjce.

- Prawdopodobnie zakochane kobiety oświadczały mu się bez przerwy - zaśmiała się Delia. - W agencji telefony urywały się od kandydatek na żony.

Nigdy nie sądziłam, że dobra prezencja może sprawić tyle kłopotu. Nic dziwnego, że wybrał spokojne życie.

Słowa Delii zabolęły Tess.

- Muszę się z nim skontaktować. Napiszę do niego - powiedziała z westchnieniem.

Delia spojrzała na przyjaciółkę i wzruszyła ramionami. Potem sięgnęła do torebki, wyjęła z niej kluczyki od samochodu i wręczyła Tess.

- Nie pisz. Jedź się z nim zobaczyć. Widzę, że jest ci to potrzebne - dodała, zaciskając dłoń Tess na kluczykach.

- Znow mam wziąć twój samochód? Wykluczone - sprzeciwiła się Tess. - Poza tym nie mogę zostawić ojca i braci. Nie przyjadę do domu przed świętami Bożego Narodzenia.

Delia mocniej zacisnęła dłoń Tess.

- Możesz opuścić jedno popołudnie u ojca. A co do twoich braci, to nie wyglądają na zbyt sentymentalnych.

Zrobiła przy tam taką kwaśną minę, że Tess omal nie wybuchnęła śmiechem. Bracia zachowywali się w stosunku do niej uprzejmie, ale, podobnie jak za dawnych czasów, lekceważyli jej osiągnięcia zawodowe. Jedynie ojciec nie wstydził się okazywać jej swoich uczuć. Nie przesadzał z tym co prawda, ale po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Tess widziała radosne błyski w jego oczach.

Wsunęła kółko od kluczyków na palec i przyjrzała się im.

- Nie będziesz miała czym wrócić do domu. Nie dam rady pojechać do hrabstwa Lawler i wrócić przed piątą.

- Nie musisz - odparła z satysfakcją Delia. - Jestem na dziś umówiona. Mam randkę z Hendersonem Baileyem.

- Henderson Bailey?! - krzyknęła Tess. - Ten sam Henderson, który kochał się w tobie szaleńczo w ogólniaku?

- Nikt inny. Przeprowadził się z powrotem z St Louis. - Delia nastroszyła włosy i przybrała bardzo wyzywającą pozę. - Nadal się we mnie kocha. Zatem czemu nie mogłabyś wypuścić się dziś wieczorem do Lawler? Delia również będzie bardzo zajęta...

Przyglądała włosy i spytała poważnym tonem:

- Czy przypadkiem nie starałaś się o pracę w szkole pomaturalnej w sąsiedztwie tego Buchanona? No i co?

- No i nic - odparła Tess. - Zatrudnili kogoś innego. Odpisali mi, że wezmą mnie pod uwagę.

- A gdyby tak cię przyjęli? - Delia przyjrzała się uważnie przyjaciółce. - Co wtedy? Zrezygnowałabyś dla nich z Nowego Jorku?

- Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. - Tess odwróciła wzrok.

- Tess, zapomniałaś już, co mówiłaś przed chwilą?

- Nie.

- Co ty właściwie nazywasz swoim domem? Hrabstwo Frontier? Omaha? Nebraskę? Zastanowiłaś się nad tym?

Tess chwyciła głęboki oddech.

- Jeszcze nie.

Jednak w głębi serca wiedziała, że jej domem była Nebraska. Od zawsze i na zawsze.

Kiedy dojeżdżała do hrabstwa Lawler, serce zabiło jej mocniej. Dojrzała zieleń późnego lata okrywała wzgórza i pola, nad głową rozpościerał się błękit nieba, a promienie słońca rzucały złote refleksy.

Wszystko wokół tonęło w blasku dnia. Na okres wakacji zniknęli uczniowie. Szerokie, brukowane ulice świeciły pustkami. Na trawniku dzieci bawiły się skakanką. Przed jakimś domem wylegiwał się pies.

Jakie to miłe i spokojne miejsce, przyznała ze zdziwieniem Tess. Po zatłoczonych, hałaśliwych ulicach Manhattanu poczuła się jak w raj.

To przecież głupie, pomyślała. W tym zakątku stanu nie miała ani domu, ani przyjaciół, ani pracy, nic.

Z wyjątkiem poczucia przynależności do tego miejsca.

Pokręciła głową, żeby uporządkować myśli. Od początku wiedziała, że wróci do swoich korzeni. Przeczuwała to od pierwszego dnia, gdy zamieszkała w Nowym Jorku. Nie potrafiła pokochać tego miasta, było dla niej zbyt nerwowe, obce i niebezpieczne. W przeciwieństwie do Bunny, nie umiała się tam znaleźć.

Przecięła Lawler i skręciła w drogę wiodącą do posiadłości Cala. Serce znów zabiło jej mocniej i zdała sobie sprawę, że boi się spotkania nie tylko z nim, ale i z Edną.

Jedyną dobrą rzeczą wynikłą z tego zamieszania, pocieszała się, była fenomenalna wprost sprzedaż kalendarza. Delia twierdziła, że to wskutek obecności Cala w Morty Jessen Show.

Fundacja Homestead Heritage postanowiła zastosować się ściśle do jego wskazówek, przeznaczając większość pieniędzy na szkolenie rolników. Czy Cal cieszył się z tego? Może przyjął chłodno te wieści. Czy w ogóle zechce z nią rozmawiać?

Kiedy zbliżyła się do przylegającego do zabudowań pastwiska, zobaczyła ciemnowłosego, wysokiego mężczyznę zdejmującego lasso z szyi niezdarnego żrebaka. Mężczyzna miał na sobie dżinsy, niebieską roboczą koszulę z podwiniętymi rękawami i zsunięty z czoła czarny, kowbojski kapelusz. Cal, ucieszyła się Tess i poczuła, jak każda komórka jej ciała wyśpiewuje jego imię.

Odruchowo zjechała z drogi i zatrzymała samochód. Wysiadła, nie zwracając uwagi na chaszcze drapiące jej łydki i czepiające się ubrania. Szybko przeszła przez trawę, podwinęła spódnicę i prześlizgnęła się pomiędzy rozciągniętymi drutami kolczastymi, oddzielającymi pastwisko od drogi.

Ani bladuróżowy kostium, ani buty nie nadawały się do spacerów po łące, lecz Tess nie dbała o to. Nawet nie zwróciła uwagi na fakt, że skaleczyła się drutem kolczastym.

Cal wyprostował się i stojąc z liną w rękę, patrzył na zbliżającą się kobietę.

Nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, lecz zauważyła, że jest spięty.

Żrebak machnął łbem w jej stronę i odbiegł, szukając matki pasącej się po drugiej stronie łąki.

Cal nagle odwrócił się, popatrzył na żrebaka i ruszył w kierunku wielkich krzaków bzu osłaniających dom i pastwisko od wiatru.

Znów mnie ignoruje, przeraziła się. Chciała go zawołać, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Zaczęła biec.

Dotarł do chłodnego cienia bzu, odwrócił się i znów spojrzał na Tess. Biegła niezdarnie na wysokich obcasach.

Zdjął kapelusz i otarł czoło wierzchem dłoni. Był tak blisko, że mogła dostrzec złote błyski w jego orzechowych oczach. Kapelusz upadł na ziemię.

- Proszę... - wykrztusiła, potykając się. Nagle znalazła się w jego silnych ramionach. Owionął ją zapach jego ciała, zmieszany z wonią traw, koni i słońca.

Pełna obaw podniosła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Był najprzystojniejszym ze wszystkich mężczyzn, jakich знаła. Ale dla niej liczyło się coś innego.

Gdy tylko odzyskała równowagę, odsunął się od niej. Przytrzymał ją jedną ręką, lecz tak, jakby chciał zachować dystans.

- Proszę - wysapała. - Nie uciekaj przede mną. Wysłuchaj mnie choć przez chwilę.

- Wcale przed tobą nie uciekam - odparł z poważną miną. - Co ty wyprawiasz? Ganiając tak, dostaniesz udaru słonecznego. Jak ty wyglądasz?

Spojrzała w dół. Spódnica była pełna ostów, pończochy podarte, buty zazielenione trawą.

- Skaleczyłaś się - dodał z kwaśną miną. Wyciągnął czystą chustkę i zaczął owijać jej ranę.

- Bunny świetnie sobie radzi - wypaliła jednym tchem.

- Słowo daję, zupełnie jakby urodziła się w Nowym Jorku. Sprawia wrażenie szczęśliwej. Oboje z Fredem mają pracę.

- Wiem. Czy przyjechałaś tylko po to, żeby mi o tym powiedzieć?

- Tak - odparła wreszcie. Krępowało ją dotknięcie jego rąk.

- Myślałam, że powinnam wam o tym powiedzieć. Tobie i Ednie. Ostatnio spotykałam się z nią dość często. Jest szczęśliwa.

Cal pokręcił głową. Popatrzył w dół, nic nie mówiąc. Puścił jej ramię. Tess się cofnęła. Spoglądał na nią uważniej niż przedtem.

- Widziałem się z nią - rzekł wreszcie. - Nie musiałaś tu specjalnie przyjeżdżać.

- Tak? - zamrugła ze zdziwienia. - Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. - Wzruszył ramionami. - Chciałem sprawdzić, czy czegoś jej nie brakuje. Ma wszystko. Myliłem się, ty miałaś rację. Potrzebowała wolności, Nowego Jorku, może nawet tego idioty Freda. Jak tam ojciec?

- Co? Skąd wiesz?

- Zamierzałem odwiedzić cię w Nowym Jorku. - Cal wsunął kciuki do tylnych kieszeni spodni. Spojrzał w niebo, jakby chciał sprawdzić pogodę. - Bunny powiedziała mi, że wróciłaś do Omaha, bo twój ojciec jest w ciężkim stanie. Jak się czuje?

- Lekarze sądzą, że z tego wyjdzie. Skinął głową, słysząc tę dobrą wiadomość.

- Rozumiem, że się z nim pogodziłaś.

- Owszem. W tym przypadku ty z kolei miałaś rację. Robił to wszystko z miłości do mnie. Teraz go rozumiem. On również zaczął rozumieć mnie.

Cal zacisnął usta. Spojrzał na Tess tak, że ciarki przebiegły jej po plecach.

- A co z tobą? - zapytał ostrym tonem. - Radzisz sobie równie dobrze jak Bunny? Czy znalazłaś wreszcie swoje miejsce? Tego właśnie pragnęłaś?

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Wiatr kołysał trawami.

- Nie.

Odpreżył się nieco, ale nic nie powiedział. Stał, czekając na dalsze wyjaśnienia. Gdzieś w dali zakwilił ptak.

- Nowy Jork to nie jest miejsce dla mnie. Podobnie jak praca w reklamie. Może powinnam... - Tess wciągnęła głęboko powietrze - wrócić do domu. Zostać nauczycielką.

Znów skinął głową.

- Masz coś na oku? - spytał jakby od niechcienia.

- Nie.

- Mamy tu szkołę pomaturalną. Zastanawiałaś się nad tym?

- Złożyłam podanie, ale mnie nie przyjęto - odparła.

- Wiem.

- Wiesz?

- Znam tu wszystkich. Znów zwolniło się miejsce. Po odejściu Freda. Możesz spróbować ponownie.

Tess rozłożyła ręce w pytającym geście.

- Nie wiedziałam. Myślałam... myślałam, że nie chcesz, żebym była w pobliżu.

Popatrzył jej w oczy. Poczula się jak spłoszony żrebak.

- Chcę, żebyś była obok. Pragnąłem tego od chwili, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

Zakręciło się jej w głowie. Czy naprawdę to powiedział? Milczała, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nie chciałem, żebyś jechała do Nowego Jorku. Wiedziałem, że tam nie pasujesz. To dlatego zamierzałem cię odwiedzić. Żeby to sprawdzić i

powiedzieć, że nie mam do ciebie żalu z powodu Bunny. Nikt nie zdołałby jej powstrzymać. Ale ty jesteś inna. Czekałem, aż będziesz gotowa do powrotu.

Nagle przebiegł ją zimny dreszcz, jakby się gwałtownie ochłodziło.

- Jestem gotowa.

Cal postąpił krok naprzód i chwycił Tess w objęcia. Pocałował ją z takim przejęciem, że omal nie zemdląca.

- Nie mogłem znieść myśli, że związałaś się z kimś innym - wyszeptał, tuląc ją mocniej. - Nie mogłem o tobie zapomnieć. Brakowało mi ciebie jak powietrza.

- Och, Cal - odparła, wtulając się w jego ramiona. - Miałaś rację. Już dawno wyjechałabym do Nowego Jorku, gdybym tego szczerze pragnęła. Uświadomiła mi to Bunny. Oni tam pasują, ja nie. Tu jest mój dom.

- Czy jesteś pewna, że będziesz tu szczęśliwa? - spytał, głaszcząc jej policzek. - Prowadząc takie życie?

Tess skinęła głową. Oczy miała pełne łez.

- Od lat odpychałam od siebie miłość do tej ziemi. Dlatego zajęłam się pracą w reklamie, która w gruncie rzeczy niezbyt mnie pociągała. Dopiero kiedy znalazłam się w Nowym Jorku, zrozumiałam, że popełniłam wielki błąd.

Cal ujął jej twarz w dłonie.

- Wyjazd do Nowego Jorku wcale nie był błędem. Tylko w ten sposób mogłaś odnaleźć swoje właściwe miejsce. Mam nadzieję, że tu, bo cię kocham.

Tess uśmiechnęła się.

- Ja też cię kocham.

- W takim razie witaj w domu - powiedział, obsypując ją pocałunkami.

